

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 1 lutego 1948 r.

Nr 5 (134)

Anna Kamieńska

Czterdziestu najmłodszych pisarzy

(Po studium literackim w Nieborowie)

1.
O pisarzach najmłodszego pokolenia pisano mało i dorywczo. Stefan Żółkiewski zwrócił uwagę na postawę ideologiczną młodych w numerze „Kuznicy” poświęconym ich twórczości. Twierdził, że ze wszystkich środowisk społeczno-politycznych obóz lewicy może się poszczycić najliczniejszą i najsilniejszą grupą młodzieży intelektualnej, choć niedość jeszcze wyrobionej do organizacyjnego, partyjnego udziału w „łagodnej rewolucji”. Mieczysław Jastrun zajmował się nieco w „Kuznicy” problemem kształcenia młodych poetów ubolewając nad tym, że wznawiają oni zamary ekspresjonizm i kontynuują przezwyciężoną awangardę. Nieszczęśliwy, zdaniem Jastruna, start młodej wojennej i powojennej poezji możnaby naprawić dając młodzieży więcej rzetelnego wykształcenia literackiego, a przede wszystkim lekturę klasyków polskich i obcych. Podobnie Ryszard Matuszewski konstatując w „Nowinach Literackich” (Nr 19. 1947) „kryzys liryki” zarzuca młodym nieuctwo, a i Kazimierz Wyka w „Szkole krytyków” w „Odrodzeniu” znajduje ciężkie słowa oskarżeń wobec młodzieży literackiej, która pragnie zamianować w osobnym piśmie („Nurt”) swoją odrębność, podczas gdy nie może się wylegitymować ani własnym i nowym stylem poetyckim, ani nieaktualną dziś przecież, romantyczną kategorią młodości.

I mimo, że Zawieyski w Nr 42 „Odrodzenia” recenzował z sympatią i uznaniem debiut Rózewicza, mimo, że nie szczędzono komplementów prozie Borowskiego, opinia ogólna o młodej literaturze wypadła negatywnie.

Ministerstwo Kultury i Sztuki podjęło inicjatywę studium literackiego dla młodych pisarzy. Studium to niezależnie od swoich realnych korzyści stało się okazją manifestacji młodych przeciwko starszemu pokoleniu pisarzy. Ocenic ją można tylko na tle naszej ogólnej sytuacji kulturalno-literackiej, na tle życia literackiego znajdującego wyraz przede wszystkim w czasopiśmie literackich, w polityce kulturalnej tych czasopism.

2.

Życie literackie z takiego punktu widzenia, jak zajęły krytyk w rodzaju Kazimierza Czachowskiego przedstawia się ciekawie i bogato. Fakty i nazwiska, każdy nad czymś się trudzi, czegoś poszukuje, jeden odznacza się „subtelnością kulturalną”, drugi posiada przynajmniej dobre intencje, tygodniki biją coraz nowe kolumny prozy, wierszy i publicystyki kulturalnej.

A jednak krytyk ten umiejscawia opatrzyć sznurkiem przymiotników każde zjawisko literackie, nie wie, co to wszystko znaczy. Współczesność wydaje się ludziom w niej żyjącym i zainteresowanym pstra i nieuporzadkowana i każdy kto pisze o niej musi się zdecydować na to, że ryzykuje głową i imieniem i rzuca się w wir faktów, które dopiero historia schludnie poskłada na półki.

Wydaje się, że historia z naszą literaturą 20-lecia przedwojennego załatwiła się szybciej niż można się było po niej spodziewać. Kto dziś pamięta, że Zeromski, Kasprówic, Staff, to jeszcze bynajmniej nie emeryci, ale żywi twórcy 20-lecia? A przecież jaka to zamierzchnia historia literatury!

O klesce Juliana Tuwima pisał już w 39 roku Ludwik Fryde: „Rzecz dziwna jak raptownie zbladła gwiazda Juliana Tuwima...”. Inni skamandryci stawszy się piewami polityki wewnętrznej ustroju wychlastali swoją paletę poetycką na patos i wyszukane rymy. Już, już, a i awangarda zaczęłaby wieszczyć i opiewać, jak zdarzyło się w ostatnim tomiku Czechowiczowi: „i pomożemy błysną chrześcijańskie krzyże jak dawniej w mińsku...”

Dla młodego pokolenia tuż przed rokiem 39 Tuwim i cały Skamander należeli już do historii literatury. Dziwne to może i tragiczne, ale chłopcy z endeckimi mieczkami ukrytymi pod kłapą marynarki deklamowali z urbi i tuwima i Wierzyńskiego i Lechonia. Obok klasycyzującego, bynajmniej jednak nie intelektualnego nurtu Skamandra przesącza się do szkół, do świetlic i czasopism gimnazjalnych poetycka awangarda. Nie była ona bynajmniej łatwa do przyswojenia. W latach

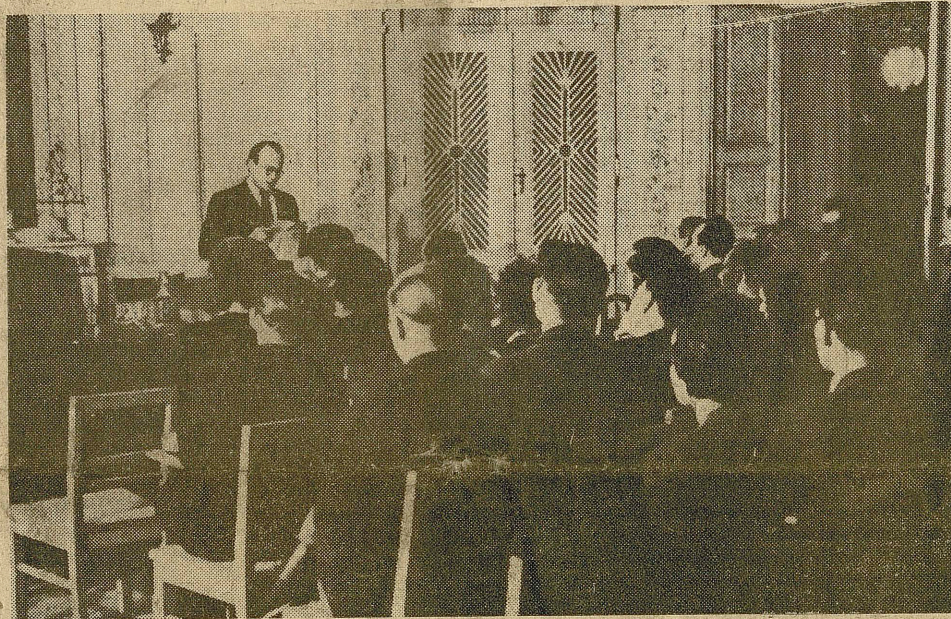
okupacji zdobyczą najwyższej młodzieży było przewyciężenie nastrojowości i imaginizmu Czechowicza na rzecz intelektualnych konstrukcji Przybosia, które zresztą po odczytaniu, to znaczy pod piórem naśladowców okazały się również zbyt łatwe i nieskomplikowane w swej ograniczonej liczbie schematów. W 39 roku awangarda bynajmniej nie zginęła wraz z Józefem Czechowiczem. Czytaliśmy ze wzruszeniem przepisywane na wiołkiej bibułce i kolportowane tajnie wiersze Juliana Przybosia zebrane w zbiorze „Pó-

poetyka redaktorów „Kuznicy” stała się niemal oficjalna.

Przeciwko niej to wystąpili młodzi pisarze w Nieborowie.

3.

Dyskusja o poezji między młodzieżą literacką a starszymi poetami i krytykami przybrała fałszywe pozory podobieństwa sporu klasyków z romantykami. Zartobliwie aluzje co do tego potwierdził Kubacki podnosząc

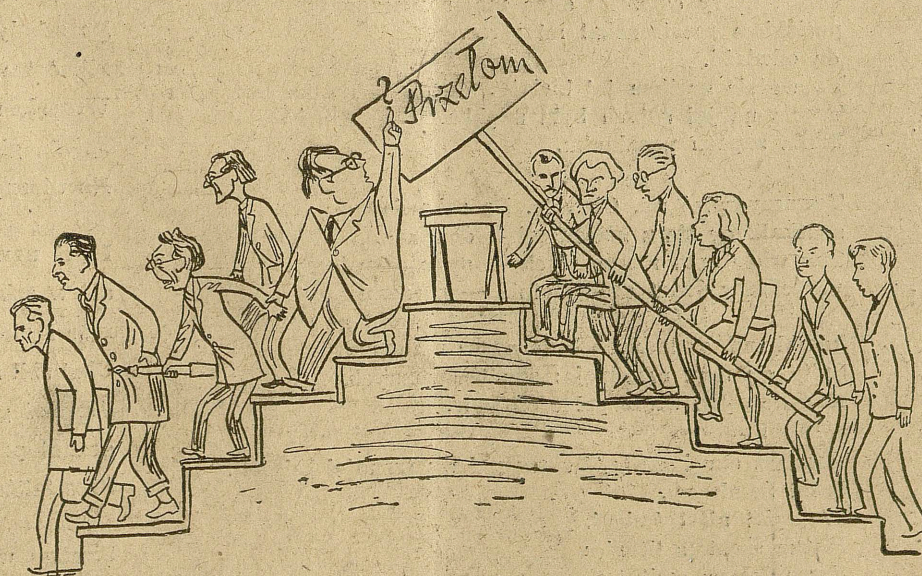


Otwarcie studium literackiego w Nieborowie przez H. E. Michalskiego

ki my żyjemy”. Wiersze te wyrzymowały próbę „czasu grozy”. Były piękne i szlachetne w swej uczuciowej powściągliwości, niepozwalającej sobie w żadnej chwili na krzyk, a przecież nie tracącej moralnego rozeznania. Jedynie środowisko warszawskiej młodzieży pozostawało pod innymi wpływami. Na poezji Baczyńskiego i Gaycego znać wyraźnie szkołę Miłosza charakteryzującą się poetycznością nieorganiczną, stylizacją według kanonów piękna zaczerpniętych z obrazowości ma-larskiej, pozornie intelektualną bo używającą chętnie słów wielkich i abstrakcyjnych, zwłaszcza z określeń czasu i pojęć moralnych. To czym żyła młodzież, to było to jedynie realne osiągnięcie poezji 20-lecia, to był przekazywany przyszłości jej dorobek. Sytuacja poetycka w 2 lata po wojnie zarysowała się inaczej. Przybos zaczął bez powodzenia powtarzać formuły swych wierszy, Miłosz pisze wiersze coraz piękniejsze, coraz bardziej stylizowane i spiętrzone małowiczko,

szczęście w nieobecności Wyki moment młodości jako siły słusznie łączącej i wyodrębniającej młodych. Młodzi potępiali „klasycyzm” Herta i Jastruna, nadużywanie nazw starożytnych bóstw i bohaterów, artystowski estetyzm poezji.

Roman Bratny stwierdził, że choć można się zgodzić z tezą o kryzysie poezji i hermetyzmie literatury, istnieją zapoznawane przez starszych krytyków próby wyjścia. Dokonują się one przede wszystkim przez podejmowanie w poezji młodych nowych tematów, które jego zdaniem same niosą zagadkę dotychczasowym formom. Młodych w większym stopniu niż poetów poprzedniego pokolenia cechuje troska o komunikatywność języka poetyckiego, w wiersze ich przeniknął nurt epicki czy dramatyczny w postaci zdarzeń życia potocznego. Jeśli młodzi poeci cenią sobie awangardę, to przede wszystkim dlatego, że szukała ona tematu współczesnego, że przewietrzała zakurzoną rekwizytornię poezji tradycyjnej.



rys. S. Cieloch

M. Jastrun, P. Hertz, A. Ważyk, J. Kott, S. Żółkiewski, J. Ziembicki, R. Bratny, K. Oleksik, A. Kamieńska, W. Woroszyński, L. Budrecki

W NUMERZE

J. A. Król — Człowiek to fragment h storii
Bratny, Sokół, Stolarek, Oleksik, Listowski —
Wiersze

K. Garcja, M. Ponte, E. Simorra — Hiszpania
ruchu oporu

Bergamin, Lorca — Wiersze

W. Łukaszewicz — Ideologia Sz. Końskiego

Z. Skwarczyński — Kość oł woiujący

L. Sobierajski — Drobny realizm

S. Gębala — Dziaia

T. Orlewicz — Drogi naprawy

Zagranica Literacka

Inny mówca, Gruszczyński, wyraził wobec poezji postulat służenia klasie robotniczej. Niesłusznie, jego zdaniem, Jastrun zganił wiersz młodego pisarza chłopkiego usiłującego nazwy współczesnych instytucji i nazwisko Pstrowskiego zamknąć w wierszu. Młoda poezja, choć może nie ma dostatecznych osiągnięć artystycznych, ma poczucie swej społecznej roli, chce brać udział w walce o kulturę ludową.

— Dajcie nam spokój — prosił łagodny Rózewicz — w imieniu poetów podrażnionych negatywną oceną ich utworów. — W Polsce Ludowej nigdy nie będzie spokoju — odpowiada Żółkiewski, tym dowcipniej, że padło dopiero co słowo: oportunizm w stosunku do starszych „hermetycznych” poetów.

Pisał Czachowski przed wojną o tym, że poeci nie mogą już liczyć na szersze uznanie (poeta to oczywiście „duchowe osamotnienie”, „wróg pospolitości”, „czciociel sztuki i bezinteresownego piękna”). „Tym bardziej godni są pochwały” — kończy.

Tym bardziej godni są polittowania i pogardy odpowiedzieliby dzisiaj młodzi.

Ale zapewne zgodziliby się z nimi w większości pisarze starszego pokolenia, choćby ich praktyka pisarska, podobnie zresztą jak i wielu młodych przeczyła ideologii. Jastrun nawołuje do wyrażania wielkich, powszechnych uczuć, do wyrażania w poezji wiedzy o rzeczywistości, do wykorzystania prawa poety do moralnych ocen, radzi wyjście ze zwożonego do szczegółu spojrzenia na duży widok świata, jaki np. roztacza się w „Godzinie myśli” Słowackiego z błędnego wspomnienia dzieciństwa. Postulaty te stawiane są przecież nie w imię poetyki klasycystycznej, do której uporu mogłoby się odnosić powiedzenie młodego Mickiewicza: „blokada rozumów”, ale w imię tejże samej ideologii społecznej, która młodych zmusza do wystąpienia przeciwko poetyce klasycystycznej. Tkwi tu gdzieś nieprzewyciężona sprzeczność epoki, sprzeczność między ideologią a praktyką obu zarówno pokoleń intelektualistów należących przecież do tej samej formacji społeczno-kulturalnej — do mieszczaństwa.

4.

Krytyka radziecka określa swoją młoda powojenną poezję jako trzecie pokolenie poetów radzieckich. Kategoria pokolenia jest w tym wypadku jasno ograniczona. Określa ją nowy etap gospodarki i odbudowy państwa socjalistycznego oraz własna typowa biografia młodzieży, która przeszła przez fronty II wojny światowej i która, jak mówi nasz kolega-poeta, zdobywała magisterium karabinem żołnierza czy partyzanta. Taka jest legitymacja trzeciego pokolenia do twórczości: doświadczenia wojny i zgłoszenie udziału w odbudowie. To też wystarczy, że wiersze są szczere, patriotyczne, wzruszające, że malują los zwykłego człowieka w walce o wolność.

Dla trzeciego pokolenia poetów radzieckich ich poprzednicy bynajmniej nie mogą być antagonistami. Walka poetyk, jak widać najlepiej na przykładzie sporu naszych klasyków z romantykami, nigdy nie bywa czysto estetyczna. Opiera się o różnice filozoficzne.

I w naszym wypadku istnieje specyficzność biografii młodych. Wiersze ich pokazują przede wszystkim wojnę i posługują się dla wyrażenia jej deformacją (stąd epitet ekspresjonizmu), groteskowym grymasem i zwożeniem pola widzenia objawiającym się w bogactwie szczegółów, w zdrobieniach, w głąskaniu „świata maleńkiego”, gdy czuje się potrzebę poskromienia go. Pisze Zbigniew Stolarek:

„Chcę tylko z lipowej gałęzi
zerwać liść, do wielkości żnienicy świat
zwożić
i tak go grać na liścia krawędzi”.

W wielu wierszach Kubiaka znajdziemy umyślną naiwność opisu, motyw prowincji, miasteczka. Tadeusz Rózewicz uprawia poetycką groteskę, nierzadko posługuje się żartem i drwiną. Roman Bratny widzi świat w dowcipnych pomysłach swej wyobraźni nie trudząc się odczytać go, u Ziembickiego słowa duże, nauczone u Miłosza: „I tak dzieje popłyną jak deszcz po żywicy” — dziwią się szczegółowo zarysowanym malowniczym obrazkom. Podobnie zresztą intelektualny po

Przybosiu — Jerzy Lau, często pieści się ze światem jak Przybós w najsłabszych swoich nastrojowych wierszykach.

Po wojnie zjawia się nowy ton w poezji młodych. Jest to, o czym mówił w Nieborowie H. E. Michalski nie oceniając zjawiska, sięgnięcie do techniki reportażowej. Charakterystyczne są tu np. wiersze Julii Hartwig drukowane w „Kuznicy”, w których przewija się wielu ludzi zwykłych, powszednich: chłopców, inwalidów, staruszków, zakochanych. Podobnie Jacek Bocheński zauważa dopiero teraz przechodniów, postać zresztą banalną chłopca-kosiarza, robotnika, wprowadza spotkanych konkretnie ludzi:

„Na grobie siedzi stara przekupka z Żelaznej i podgiąwszy pod siebie grube, gołe nogi, sprzedaje kalafiory”.

Zdawałoby się, że jest to mocno zapóźnione zjawisko — bo przecież pozostając ciągle na gruncie polskiej literatury — mieliśmy już swojego Or-Ota od opiewania drobnomieszczaństwa.

A jednak w tej formie objawia się dziś najlepiej polityczność młodej poezji. Objawia się ona w dojrzeniu zależności wzajemnej ludzi. Na ich pospolite zajęcia pada powaga ustroju, w którym się poruszają. Przekupka Bocheńskiego i ślizgający się na ulicy chłopiec w wierszu Julii Hartwig są „świadkami i (aby zinterpretować ton optymizmu) szczególnie uczestnikami politycznych przemian światowych.

Wspomniano już także o próbach unowocześnienia poezji przez wprowadzanie do niej nazw instytucji charakteryzujących nowy ustrój, nazwisk robotników-rekordzistów itp. Ale od wszystkich zapędów nowatorskich, od prób samodzielnich silniejsza jest obawa wyrażona w dyskusji przez Laua — obawa „przed upadkiem sztuki”. Upadek sztuki znaczy tu coś określonego — zagubienie więzi z poezją francuską okresu surrealizmu. — Znaczący także zabicie w sobie mieszcza — dopowiada Zółkiewski, który właśnie przed godziną interpretował artykuły literackie Lenina.

5.

Zdaje się, że nie ma zasadniczego sporu ideologicznego między starszym pokoleniem poetów a pokoleniem młodych. Przeciwnie korzystając z przytoczonej interpretacji Lenina

już partyjność pisarzy gwarantowałaby wspólny front literacki. Tak w Związku Radzieckim trzecie pokolenie w sposób naturalny luzuje poetów przedwojennych.

Na gruncie ideologii ludowej sprawa pokoleń postawiona została jasno w ubiegłym roku na zjeździe pisarzy „Wsi” w Rytwianach. W prozie, publicystyce i poezji zarysowały się wyraźnie trzy pokolenia. Ich działalność pisarską charakteryzują wielkie różnice w zakresie obejmowanych problemów i umiejętności posługiwania się środkami literackimi. Różnice te wynikły jednak nie tyle z różnych poetyk, z różnych ideologii, bo ta stanowiła pewien ciąg rozwojowy, ale z odmienności zadań, jakie rzeczywistość historyczna przed

cają działacza kulturalnego, że zamiast o posagach starożytnych, laurach i Homerze — trzeba pisać o elektryfikacji, sublimować i asymilować do języka literackiego pojęcia z gazet i sloganów.

Cóż trudno się porozumieć w kraju, w którym wszyscy godzą prostym sposobem formalistycznych ocen literackich: dobre, złe, lichy z wyznawanym postulatami „zabijania mieszcza”, czyli wyrzekania się gustów opartych o czysto estetyczne kryteria.

Między grupą młodych poetów „Wsi”, o której pisał niedawno J. A. Król a grupą poetów „warszawskich” zachodziłaby bliska problemowa zgodność. Choć wiersze młodych chłopów może często surowsze przedstawiają



Mieszkańcy Rytwian i okolicy słuchają recytacji poetyckich pisarzy „Wsi”.

każdym pokoleniem stawiała. Hasło oświaty ludu było mglistym programem wobec aktualnego zadania warstwy chłopskiej: kształcenia specjalistów i fachowców na wszystkich stopniach zawodów. To też grupa ideologów wsi, to znaczy po prostu grupa inteligencji chłopskiej musiała się nierównie bardziej wyspecjalizować, wykształcić, przestać być inteligencją chłopską, to jest wejść w ściślejsze i rozleglejsze kontakty społeczne z innymi grupami.

Zadania polityczne, społeczne, intelektualne kształtują pokolenia inteligencji.

W tym aspekcie spór między młodymi i starszymi pisarzami nie powinien być przez tych ostatnich zlekceważony. Ich młodość poetycka postawiła niegdyś przed nim zadanie: świat upiększać. Robią to dobrze. Przyłączają się do nich niektórzy młodzi. Znajdują uznanie i zachętę, jak Zygmunt Radek. Ale sfera literackich „dzikusów”, którzy może nawet nie czytali w oryginale Jacoba i Superielle'a uparła się, że funkcja poety jest funk-

tycznie w większości inne poetyckie życiorysy. Zresztą te życiorysy, zdaniem Króla, wnoszą w treść poezji istotną zmianę — wnoszą nowe doznania społeczne. Cokolwiek powie dzieliłbyśmy na ten temat, będą to sądy mgliste i uproszczone. Doceniamy wszyscy trud intelektualnej poezji Jastruna, która zdolna była do moralnego skwitowania doświadczonej przez poetę głęboko historii. A jednocześnie zdajemy sobie sprawę z naglącej potrzeby zmiany funkcji i kształtu poezji.

Jeżeli warto jeszcze być poetą, jeżeli nie ma to być czynność znoszona pobłaźliwie tylko w imię dawnych „europejskich” tradycji, trzeba przywrócić poezji proste funkcje: przydatności kulturalnej, wzruszenia. Sprawa nie zamyka się w obrębie polskiej literatury, sięga problemu światowego kryzysu poezji. Młodzi pisarze z wdzięcznością przyjmują rady i opiekę ministerialną, ale bodaj najskuteczniej nieborowski zjazd młodych objawił się przez wzmożoną świadomość trudności i zadań.

6.
Idea kształcenia młodych pisarzy i państwowej opieki nad nimi jest nowoczesna, z pewnością będzie rozwijana i być może zmieni się w instytucję stałą. Ideologiczną podstawą takiej instytucji byłoby niewątpliwie zdanie wypowiedziane w Nieborowie przez Stawara: istnieje wyraźna tendencja do rozszerzania się kultury; literatura musi ją podtrzymać. Aleksandryzm, bizantyzm zginęły dlatego, że nie były wrośnięte w społeczeństwo, że były powierzchownymi, prądami górnych warstw społecznych. Można twierdzić, że młodzi pisarze współcześni o wiele silniej od młodzieży innych pokoleń zdają sobie sprawę z tego, że rzeczywistość kulturalna jest dla nich i ich twórczości zasadnicza i sprawcza, nie zaś jakieś sfery wiecznego ducha i piękna. Wiedzą oni, czego nie pojmowali szlachetni nowatorzy awangardy, że poezja nie staje się w retortach prywatnych, technicznych prób, że liczba nakładów czasopism kolportujących wiersze, rodzaj ich odbiorców są dla poezji decydujące. Z kryzysu liryki nie wyjdzie się dopóty, dopóki nie zdobędzie się nowych terenów jej eksploatacji, jak mówił Wat o jakimś momencie historycznym rozwoju powieści. — Nie istnieje autonomiczny język poetycki — powiedział Jastrun. Najbliższe zadania poezji to upolitycznić ją, nasyczyć treściami logicznymi i powszechnymi. Można sądzić, że młodzi za słabo w stosunku do swych przekonani zaakcentowali w tym miejscu zgodność z poglądami Jastruna.

Młodzi pisarze rozumieją przeważnie, że rola ich jest rolą ideologów społecznych, stąd może ton publicystyki w ich próbach, publicystyki często jeszcze zbyt uproszczonej i łatwej. Odczuwają oni potrzebę przełamania dotychczasowej kastowości grupy intelektualistów przez szersze powiązania społeczne. Mówi się o drugim zawodzie pisarza, o otwierających się placówkach działania społeczno-kulturalnego.

Młodzi poeci wiedzą, że o przełomie literackim dziś można mówić tylko mówiąc także o przełomie kulturalno-społecznym. Jest to wiedza cenna, ale i niezwykle obciążająca. Grupa, która będzie mogła poszczycić się dokonaniem literackiej rewolucji, będzie musiała być przede wszystkim dojrzała ideologicznie a kto wie, czy jedna lekcja żywej historii i jedna lekcja Zółkiewskiego wystarczy... Ale H. E. Michalski, opiekun młodych pisarzy, wierzy optymistycznie, że jesteśmy w literaturze przed przełomem.

Anna Kamińska.

W I E R S Z E

Roman Bratny

NA PIĘCIOLETNI PLAN ELEKTRYFIKACJI

Gwiazda się w chmurach jąka
— ale za nią krzyczy rzeczywistość:
uruchomimy nową elektrownię!
każda żarówka w oczach nam odczyta:

niech żyją analfabeci!
— ale byli, dziś ze słowami w oczach i na ustach!
Niech żyją kalecy!
którym brak trzeciej ręki do kielni i pluga!

Tak, bo najpierw idzie propaganda — ucziwa,
ze najpierw trud narodu, a potem zapłata.
W stolicy dziś chałupy tylko słońcem kryte,
okna zimą bez szyb, bez mrozu — prosto w lato.

Tak bywa. Szyb brak, lecz łzami oczy oszklił
mróz, co bogatym w kwiaty białe zamalował szyby.
Tak bywa — na każdej kromce chleba kwitną osty,
że myślisz: pańszczyźniany, czy żytni?

Słuchajcie! — nie patrzcie nocą w gwiazdy
— jeśli nie ma elektrowni — będzie,
jak jest ciemno będzie jasno,
mróz nam na stalowo zahartuje ręce.

Ta gwiazda będzie ostoją ciemności,
bo światło z pierwszej elektrowni uruchomionej
biec tam musi lat całe miliony,
gdy tu wybrukujemy światłem piąty rok wolności.

Klemens Oleksik

CODZIENI

Codziennie świst tramwajów na wychłodłej jezdni
budzą płuca fabryk: syreny. Miasto nabiera tchu.
Kiosk zakwitł gazetami: idą z pięt, z bram, dworców
po najświeższy dziennik.

Puls świata pachnie farbą drukarską:

U nas Pstrowski zakasał rękawy

i na lśniącej ścianie węgla

wykuwa swój czarny rekord.

W miasteczku

Piotr Grankowski uśmiechnięty listonosz

wyszedł na rejon.

Pociąg pośpieszny wsparł się kitą dymu o schylone

Maszynista pokonał ostatni semafor:

w piekarni narodził się świeży bochenek chleba.

Tadeusz Sokół

ZARYS

...Uszyła ci koszulkę z przędzy,
utkała majteczki z lnu.
Gliniane ptaszki fruwały z twej ręki
Chrystusiku z pierwszych opowieści,
kolego ze snów.
Pamiętasz pierwsze łuki strugaliśmy w lesie
z jałowców, gdzie leśniczym był święty Józef
z wąsami mojego tatusia.

Minąłem ćwierć wieku życia.
Znam „Kapitał” i kłamstwa historii.
Jestem marksistą.
Robotnik podawał mi dłoń.
Żołnierz karabin.
Sześć lat cudzego życia.
Brat zginął.

Spotykaliśmy się kolego Chrystusie
na drewnianej huśtawce przy szopie:
dwaj złotowłosi, kędzierzawi chłopcy.
Razem szliśmy przez łąki nad Kamienną —
do Jerozolimy z Emaus.
Matkę mieliśmy jedną.

Czołg, który ostrzelał okna mej narzeczonej
pociskiem rozstrzaskał mi serce.
Ją odwieźli.
Po wojnie nosiłem jej kwiaty.
Trawa na jej ustach była miękka.
Miała zapach pocałunku.

Towarzyszyłeś mi, Chryste. Po zabawie
spotkaliśmy się z książkami w dłoniach.
Tak wiele było rzeczy złych — synu człowieczy.
Chcieliśmy świat uszlachetnić — puszczaliśmy
kaczki po stawie
kamykami, w których były nasze marzenia.
Śniły się nam rewolucje: siła bezbronných,
mięśnie rąk i kosze pełne pieczyw.

Żołnierz okuciami butów szarpał wnętrze książki.

Szedł kamienny.

W pięści niósł śmierć.

Matka szeptała litanię:

Serce Jezusa zmiłuj się...

Miała siwe włosy.

Włosy we krwi.

Zbigniew Stolarek

POLANA

Przyjdą kiedyś... Popatrz... Nie będą wiedzieli nic...
Choćby księżyc tak samo noc światłem po szczyty sosen budował
Prężnej radości nocy i dni nie pojną,
choć im płuca napadnie ta sama, cierpka woń sosnowa.

Tu był więcej niż dom; jak korzenie wrośliśmy w tę ziemię.
Byliśmy my — i był las. Sprzymierzeni!
W mroku drzew strzały mocniej były wrogom w piersi;
Był las — i byliśmy my: leśni!

Pamiętasz?... Tu, gdy marszem zdławiony w odpoczynek ległeś,
dnie lasiły się wrzosem i zapachem świerków.
Tu były płuca lasu; tu oddychał niebem
— — tę polanę pamiętasz?...

Marian Narcyz Listowski

NOC

Do szkoły miałem sześć i pół
kilometra rannej zadymki.
Wracałem nocą z głową w dół
zwisłą, głodny do kartoflanej rynki.
Na wiosnę w błocie rozlaży się drewniaki.

I już nawet los nie byłby zły taki,
ale w szkole dostałem laską w plecy,
ręce i głowę osiemnaście razy mocno.
Obst zbił nas za „Jeszcze Polska”... jak Niemcy.
Przecież gdy przyszła zemsta noc, to
granat poszli mu rzucić chłopcy przez okno
Przestaliśmy do szkoły chodzić odtąd.

Pisałem wiersze i nocne trzymałem warty.
Więc nucila piosenki w dębowym sadzie.
Był blisko, pełen chłopców co jak czarty
z akcji jutrznią wracali, usypiali na dzień.

Jan Aleksander Król

CZŁOWIEK TO FRAGMENT HISTORII (II) *

(Drugi list otwarty do Dr Szymona Starkiewicza, twórcy Górki, sanatorium społecznego dla dzieci gruźliczych w Busku - Zdroju)

ODKRYCIE JUDYMA I JEGO BŁĘDY

Drugi i Szanowny Doktorze!

Pzypomnijmy sobie referat, jaki wygłasza Judym w kole warszawskich eskulapów. Judym przywołał z Paryża dwie informacje. Pierwsza — o postępie w higienie. Są nowe środki dezynfekcyjne i nowe metody zapobiegania chorobom. Nowa medycyna kładzie nacisk na higienie. Jej czysto warstwowe i produkcyjne hasło brzmi: leczyć, tzn. stwarzać społecznie powszechno warunki, umożliwiające powstanie choroby. To się zebranym nawet podoba. Nowe odkrycia, nowa teoria. Ale Judym na tym nie kończy. Zmiany w technice medycyny wymagają zmian w stosunkach społecznych. Dlatego druga informacja Judyma dotyczy „mottochu paryskiego”, „rezerwowej armii przemysłu”. Dlatego ją dojrzał. W niej bowiem gnieździ się siedlisko chorób. Wieczne zagrożenie. Przez nią sam proces leczenia przypomina ucinanie głów hydrze, wciąż odradzającej nowe. Wniosek narzuca się sam: trzeba leczyć biedotę. To jest powołaniem lekarza. Ale to się już eskulapom nie podoba. Podawali wszak do „Tygodnika Ilustrowanego” artykuły o „Towarzystwie Dobroczynności w Warszawie” albo o „Szpitalu Dzieciątka Jezus”. O Szpitalu? W ciągu roku przewinęło się 7000 chorých, umarło 950. Rozdano na wykarmanie kobietom wiejskim 5000 niemiędat (podrzućków), starszych pozostało 400, położnic 650. Budżet roczny szpitala 100.000 rubli. Oto granice społecznej medycyny. W tych granicach obracają się eskulapi warszawscy. Judym wskazuje im na sprzeczność, jaka narasta pomiędzy nową techniką medycyny a stosunkami społecznymi. Dyskutowańci odwracają zagadnienie. To przedstawiona przez Judyma technika higieny popada w sprzeczność z panującym porządkiem społecznym, a tego porządku naruszać nie należy. „Autor odczytu narzuca lekarzowi dzisiejszemu obowiązek ulepszenia stosunków społecznych. Jest to pretensja dzika”. „Nie wiem dlaczego lekarz miałby być wykluczony od uczestnictwa w podziale tych zresztą marnych bogactw tutejszego państwa”.

Doktorze, przyjrzyjmy się bledom Judyma. Pierwszy. „Umiemy — wymawia lekarzom — pilnie tepic mikroby w szpitaliach bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkowania dzieci pospółu z prosiętami. Którz się z medyków tego wielom zajęł sie higieną hotelu Chateau-Rouge? Kto z nas tu w Warszawie wdał się w to, jak mieszka rodzina żydowska na Parysowie?”

„Zamiast ująć w rece ster życia, zamiast według praw nieomylnie nauki wznosić mur odgradzący życie od śmierci, wolimy doskonałość wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospółu z nim dzielić okropny zbytek. Lekarz dzisiejszy — to lekarz ludzi bogatych”.

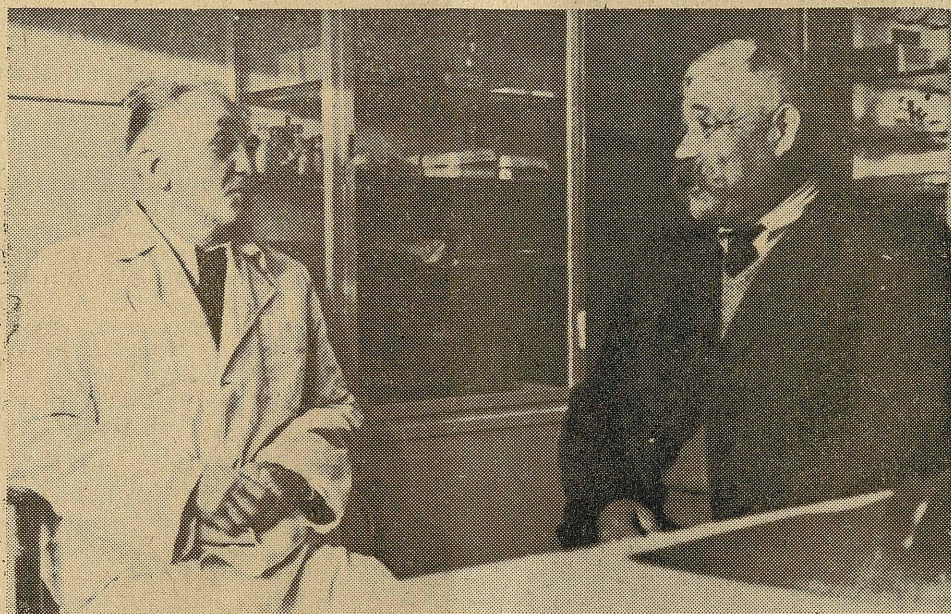
„Ale Judym na takich lekarzach chce budować reformy. Do nich apeluje: „Czyż nie jest naszym obowiązkiem szerzyć higienę tam, gdzie nie tylko jej nie ma, ale gdzie panują stosunki tak okropne?”

Błąd drugi: Nie chcą lekarze zrzec się pożałowanych dochodów — nie muszą. Tego, co do nich należy, mogą dokonać nie tracąc na pugilaresie. Tworzą przeciw stan! To jest argument Judyma.

„Stan lekarski ma obowiązek, ma nawet prawo, zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory wracał do źródła zuby swego zdrowia” (mowa o fabrykach, gdzie szkodliwe dla zdrowia rodzaje pracy wywołują zawodowe choroby). „My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suteryn, uzdrowienia fabryk... Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałabym być posłuszną zarówno ciemności, jak siłą pieniędzy”. Ten argument kładzie Judyma. Napierw uprzytomni! lekarzom, korzyści, jakie czerpią w ustroju kapitalistycznym, teraz uprzytomnia klasową zależność ich pozycji społecznej i ekonomicznej od tegoż ustroju. Postęp medycyny to część składowa postępu techniki produkcji. W głównych gałęziach produkcji panuje już (rok 1900) forma pracy uspołecznionej. Ale stosunek do środków produkcji jest nadal sprzeczny z charakterem produkcji. Są ich właściciele i wywłaszczeni Lekarze, słuchający Judyma, mają za sobą r. 1892 (błyskawicę rewolucyjną „Proletariatu”) przed sobą r. 1905, wiedzą czym to pachnie, kiedy robotnicy zaczynają sobie zdawać sprawę ze społecznego charakteru produkcji fabrycznej.

Judym pokazuje im nową technikę medycyny, która wymaga zastosowania **społecznego**. Przyjając ją, to znaczy dotychczas się do tych sił społecznych, które w starej formacji ustrojowej warunkują jej upadek, warunkują ją zatem przekreślenie również „uczestnictwa lekarzy w podziale tych zresztą marnych bogactw”. W czym imieniu przemawia Judym? Czy ma pełnomocnictwa z tamtej strony barykad? Czy ich straszy „tamtymi siłami”? Wiedzy — wartoby się może zastanowić. Bronić starego porządku czy pójść na układy z rewolucją? Ale Judym — pajac — na kogo? Na stan lekarski powołuje na jego „**przyrodzone prawa**”.

Reformator! Ci starzy lekarze wiedzą dobrze, że przyrodzone prawa ich stanu są właśnie kapitalistyczne: podsukują bogacza, którzy zawłaszczają dochód z pracy



Dr Szymon Starkiewicz w rozmowie z J. Fickiem, chłopem z pod Buska, który w r. 1918 stanął z nim do współpracy przy budowie sanatorium; on to założył najpierw połowę cegielnię, a potem wielką cegielnię Hoffmannowską, pełniąc funkcję „Ministra Przemysłu”, jak mawiał zartobliwie Dr Starkiewicz.

proletariatu, ale dlatego nie leczy biednych, nie leczy **społeczniwa**. Trzeci błąd. Lekarze bronią się świetnie. Pełnych konsekwencji społecznych nie chcą wyciągać z narastających zmian w technice medycyny. Pozory zachować, owszem. „Czy w istocie tak źle jest z nami? Oto powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciw-zębaczce, urzędza się przytułki noclegowe, funduje kąpiące dla ludu”... „Fundowanie kąpiel dla ludu przez osoby postronne, przez filantropów, uważam — odpowiada Judym — za dążność chybioną”.

A przez kogo? „Przez tego, w czym interesie potem i brudem okryli się ludzie”. Zatem, przez fabrykanta!

„Ale kto ma nasterwać, kto? Jakim organ, jakim sposobem?” „My lekarze! My sól ziemi, my rozum, my ręka kochająca wszelką boleść”. „Kpisz pan czy o drogę pytasz? Judym jest skompromitowany. I szusnie, Odsion! Odsion! kartę. Jeśli fabrykant powiną dbać o zdrowie robotnika tzn. wierzy, iż między ustrojem kapitalistycznym a osiągniętym rozwojem techniki produkcji (w niej medycyny) nie ma zasadniczej sprzeczności. Gdzieś mu się po drodze argumentacji — rozplynęła. Fabrykanci pod wpływem stanu lekarskiego i... stanie się „znakomita idylla”, kpią lekarze. To nawet nie ich przeciwnik. To beznadziejny utopista.

DROGI DO WIELKIEJ PRZEMIANY

Żeromski utopił swoje największe — historyczne — odkrycie. Dla czytelników został patos zdań wymawianych jak przykazania: „Praca nasza jest to walka ze śmiercią. Co może się porównać z pracą lekarza?... Życie nasze całe składa się z pasma poświęceń”. Te przykazania pogrzebały dojrzają już wówczas socjalistyczną prawdę, jaką wyrażają informacje paryskie Judyma. Pogrzebał ją sam Judym, choć z niej rozwinięła się jego etyczna historia. Bo skąd nagle ta wielka odpowiedzialność zawodowa i misja społeczna, jakiej mało co może się równać? Tylko stąd, że zaostroża się u końca w. XIX sprzeczność pomiędzy osiągniętą techniką medycyny a stopniem udziału społecznego w jej usługach.

Medycyna wymaga już powszechnego, planowego zastosowania. Lekarz staje przed społecznym opanowaniem choroby, a nie indywidualnym. To jest wewnętrzny postulat samej medycyny. Ale jest ona równocześnie zjawiskiem społecznym i zależy od ustroju. A ustroj na to nie pozwalał. Taki jest problem „Ludzi Bezdomych”.

Jak go rozwiązuje dr. Judym? Fatalnie, to znaczy nie rozwiązuje i dlatego to rośnie z każdym rozdziałem beznadziejna, tragiczna atmosfera książki. Błędy Judyma wskazują, że ani on, ani Żeromski ustroju kapitalistycznego nie odrzucali. Dlatego nie mogło być mowy o żadnym gwałtownym zniesieniu sprzeczności pomiędzy możliwościami medycyny a jej w doświadczeniu społecznym, nieobecnością. Rwetes Judyma podniesiony jednak został dla osiągnięcia natychmiastowej, wielkiej przemiany. Ale pole działania ograniczył do środowiska inteligencko-lekarskiego, środowiska wyhodowanego przez kapitalizm, od niego brało ono naukę, kliniki, gabinety, funkcję i pozycję społeczną.

Dla wielkiej przemiany istniały tylko dwie drogi: ruch rewolucyjny, który zagrażał ustrojowi, podtrzymującemu te sprzeczności i ruch zawodowy proletariatu, który wywalczył robotnikom płace, czas pracy, umowy zbiorowe uwalniał dzieci od zatrudnienia, wywalczał ubezpieczenia i ubezpieczalnie.

Jeden i drugi ruch zmuszały kapitalistów do filantropii. Niektóre jej postacie stawały się żaławkami sił, przyspieszających rozszalenie ustroju. Do takich można zaliczyć ubezpieczalnie, szpitale i sanatoria.

Judym chciał, aby „stan lekarski” ulepszał stosunki społeczne. A to strajki i manifestacje klas ciemionych wymuszały na przywódczycielach ów nikły procent szpitali, ambulatoriów, badań fabrycznych, ubezpieczalni — niki, ale realnie uderzający w „stan lekar-

ski”. Na tych przyczółkach medycyny, działającej zgodnie z jej postępowym technicznym, rozłamywał się „stan lekarski”, dzielił społecznie, wiązał z drugą stroną barykady, dawał się pozyskać, dawał się rozpalić do założenia jeszcze jednego przyczółka dla... okrażenia kapitalizmu.

Wszystkich społecznych bohaterów Żeromskiego urodziła ta sama sprzeczność występująca między techniką produkcji a społecznymi jej stosunkami. Historia Judyma na wskim odcinku gałęzi produkcji i usług: medycyna, najwyraźniej; może na to źródło wskazuje, ale tak on, jak i Nienaski, czy Przelęcki kończą podobnie — nieudałymi osiągnięciami: zaczynają i porzucają. Co gorsza, większość z nich ma fakultety, specjalności a rzucają się na roboty o wiele poniżej ich umiejętności, na szkółki, mleczarnie. Zdwaja się dyletancki charakter ich robót i fiaszko dyletantów. Nawet opanowany zawód chwycie się im w rękach i traci swą moc i użyteczność. Tę chorobę inteligencką śledzimy od dawna. Chałubiński przestał stawać oko w oko z chorobą. Biegański uległ „szarlatanerii czułościwości” w medycynie.

Dlatego paryskie informacje Judyma mogły być poprawnie sformułowane tylko w języku socjalistycznym. I wtedy miałyby praktyczne przedłużenie albo w ruchu rewolucyjnym albo w robotniczych związkach zawodowych. W języku inteligencko-moralistycznym praktycznego rozwiązania nie było.

ODCHYLENIA OD MISTRZÓW

A jakie były Wasze dzieje, Doktorze? Osa-czyłem Was wszystkimi możliwymi wpływami, jakie wówczas na młodego lekarza mogły oddziaływać: PPS, Chałubiński, Biegański, Brudziński, Żeromski. Rozumiem, dlaczego Żeromski wywarł na Was wstrząsające wrażenie. Można było stać jak najdalej od rewolucyjnego nurtu robotniczego, można było naboznie gubić się w zakłiniach Chałubińskiego i Biegańskiego, ale po raz przemytającej powieści o „Ludziach Bezdomych” rozjaśniły się mroki, leżące u podstaw, pogłębiającego się z końcem XIX w. dramatu medycyny. Lekarz w swoim zawodzie stawał teraz wobec tego samego problemu, jaki sygnalizowały strajki robotnicze i folwarczne. Krawła wśród robotników popularna, o wielu wydaniach broszurka pt. „Kto z czego żyje” — popularyzacja teorii wartości Marksa opracowana przez S. Dyksta. Dla inteligencji zrozumiały był inny wykład, inna popularyzacja. Czy zdawaliście sobie sprawę Doktorze, jak bardzo „Ludzie Bezdomi” nie są powieścią? „Membra disiecta”. Zyste w jedną całość: referaty, pamiętniki, liryczne zwierzenia i romans. Późor jedności nadawała im wspólna osoba bohatera. Mówiło się i mówi jeszcze, że to złe powieść. Ale warto powiedzieć, że to świetna powieść złego, poszarpanego życia. W formie tej quasi — powieści wyrażał się odchylony od normy mieszczańskiej los inteligenta bez przydziału.

Dlatego na Zachodzie rozwija się wówczas medycyna? Pełniejsz. rozwinięty kapitalizm tworzy tam szerszą i bogatszą bazę społeczną dla zastosowania postępu technicznego nowej medycyny. Charakterystyczne są etapy tego postępu: Paryż — Wiedeń — Berlin. Rok 1870 Kłeska Francji, kwitny mieszczański umiścawia się teraz „an der schönen blauen Donau”. Wkrótce doczekamy się Freuda. W Niemczech rozwój gospodarzy, rozmach przemysłu chemicznego. Na zachodzie zmianom w technice medycyny towarzyszyły na tyle jeszcze duże kapitalistyczne rezerwy finansowe i społeczne, że proces wzrastających jednak sprzeczności między postępową medycyną a istniejącymi stosunkami społecznymi (przekładem baryskie obserwacje Judyma: nędra rezerwowej armii przemysłu) nie stawał się w takim stopniu widoczny w samym lekarskim zawodzie. Tak u nas w kraju o niedorozwiniętym kapitalizmie. Z trzech Waszych mistrzów, Doktorze nie Chałubiński, nie Biegański, a tylko Brudziński nie staje beznadziejny, jako lekarz. On bowiem o-trzymuje warsztat, zgodny z postępowym tech-

niki lekarskiej — całe kliniki, — filantropijny dar od polskiego stanu posiadania.

A Wy, Doktorze? Los rzuca Was na Śląsk. Leczyć w Dąbrowie Górniczej i Sosnowcu. Przez piętnaście lat zapisujecie lekarstwa na gruźlicę, serce i choroby żołądkowe. Z każdym rokiem wystawiacie recepty w poczuciu coraz większego wstydu i bezsensu. Robotnicy z Waszymi lekarstwami wracają do tych samych nor, do tej samej anemii z niedożywienia, do tej samej pracy bez odpoczynku. Ich choroby przenoszą się na dzieci. Rodza się zagrożone bardziej od rodziców. Progu śmiertelności wielki ich procent nie przekracza. A te, które przekraczają nie stanowią weale wyborowego materiału.

Gdybyście pisali pamiętniki, przypuszczam, że ich tytuł z pierwszych lat śląskich brzmiałby: „Fantazje i rzeczywistość”. Fantazje to bagaż wychowawczy mistrzów. Oni przegrali już u samych źródeł medycyny. Przystawili walke z chorobą na pomoc chorým. Ale jeszcze łopotały im skrzydła u ramion. Bliźniego widzieć w chorým! Tyle czułości włożyli w posłannictwo lekarza. Ich lekarz miał jeszcze chodzić od wypadku do wypadku. To był lekarz prywatny, **indywidualnie chorých**. A wyście tam, w Zagłębiu Dąbrowskim ujrżeli obraz chorób, jako obraz procesu społecznego. Więcej, jako **zjawisko klasowe**. Nauczyliście się charakteryzować klasę robotniczą (górnicy, metalowcy) w trzech słowach: w zysku, w nędzy, w chorobie. Choroba przestawała być dla Was wynikiem walki sił przyrody, nacierających na organizm. Dwa pierwsze składniki definicji klasy robotniczej to były właściwe siły, wywołujące przyrodnicze zjawisko choroby i to były siły, niedopuszczające do powszechnego leczenia „wypadków” i prawidłowego rozwoju medycyny.

Gdybyście chcieli pozostać wiernym uczniem swoich mistrzów — stały przed Wami trzy drogi:

Pierwsza, jaką wskazywał Biegański: „Wierze w postęp etyczny ludzkości, wierze, że przyjdzie czas, kiedy między ludźmi nie będzie walki o byt, wierze, że przepiękna myśl chrześcijańska miłości bliźniego nie pozostanie słowem”. Ta wiara idealistyczna, Doktorze, w Waszych śląskich warunkach... byłoby to chyba **narkotykiem**, stepiający w Was głos sumienia, które zadawało, bo musiało zadawać pytanie: a co na dzisiaj? A co ja, jako lekarz, mogę i powinienem osiągnąć, abym miał prawo tą wiarą sam żyć i innych ożywić? To weale łatwo było ustawić się w cieniu kaszalnicy, poprawdą jako zębony w rezultacie pomocnik księdza i na konto czasów szczęśliwych, które „kiedyś” nadejdą, pomału filistrzeć.

Drugą wskazywał Brudziński. Zaczepić się o kapitalistyczną filantropię w dużym stvlu. I tak myślę, że Brudziński na pewno Was wzywał do Łodzi albo Warszawy. Możeby Wam oddał do samodzielnego prowadzenia klinikę w Lublinie? Ha, byliście już parę lat na Śląsku wśród robotników. I to nowe doświadczenie społeczne utrzymało Was w dystansie. Brudziński, zdając sobie sprawę czy nie zdając, był pełnomocnikiem przemysłowoziemiańskich sił społecznych. Klinikę przesiłniały mu klasowy obraz Polski. Widział ją oczami solidarysty, tak, jak tego sobie zyczlił fundatorzy. „Chorowaleś na ojczyźnie” mówiono o nim po latach. „Nadał uniwersytetowi (którego był założycielem w Warszawie) znamiona polskie katolickie”. On sam o studentach-medykach mawiał tym dziwnym narrdowym językiem „orleża moje”.

Z kółka Brudzińskiego (początek Towarzystwa Pediatrów Polskich) wyemigrowało Doktorze poczucie odpowiedzialności równej Brudzińskiemu. Stał przed Wami obowiązek nie wejścia do jego sztabu ale rozegrania samodzielnie bitwy, nie mniejszej, niż on ją rozegrał na filantropijnej fundacji kapitalistw.

I właśnie to śląska ojczyna robotników umacniała Was w tym przekonaniu.

Trzecia droga — droga Judyma. Powiedzieć sobie — nie ma dziś dla lekarza warunków do zastosowania jego pełnej wiedzy i techniki medycyny. Zwymyślać stan lekarski a równocześnie zaapelować do niego aby zrealizował natychmiast artykuły w w.r.v. jakie utoczył Biegański na bliżej nieokreślonej przyszłość. Wejrzeć w społeczny obraz chorób w kraju i krzyknawszy „to noc, batoro bez wycięcia, jakaś nieuleczalna choroba” uciec do prostu. I otdać uciekać, zmieniać miejsca, zaczynać i nie kończyć.

Przeciw tej drodze, świadcza Doktorze, Wasze piętnaście bitych lat w Zagłębiu.

W ZAGŁĘBIU GÓRNICZYM

„Každy talent, który przejawiał się w rzeczywistości — pisał Plechanow w książce „O roli jednostki w historii” — czyli każdy talent, który stał się **siłą społeczną**, jest wytworem **stosunków społecznych**... ludzie utalentowani mogą zmieniać jedynie **indywidualne** oblicze, lecz nie ogólny kierunek wydarzeń. Oni sami istnieją tylko dzięki temu kierunkowi, gdyby nie ten kierunek, nie przekroczyłby nigdy progą dzielącego możliwość od rzeczywistości”.

Doktorze! Ten kierunek, od jakiego Wy byliście zależni, wytyczył tylokokrotnie już przeze mnie podkreślany konflikt ze stosunkami społecznymi produkcji, do jakiego doprowadził rozwój sił wytwórczych kapitalizmu pod koniec w. XIX w. Kongresówce. Do-

* P.: „Czy doktor Judym?” „Wies” Nr 4 (133).

świadczyliście go na własnym odcinku — techniki medycyny.

Można się domyślać Waszych śląskich rozważań. Najpierw, pośród tych dziesiątków tysięcy górników i metalowców — szpitali i fachowców! Potem: ważniejsza nad leczenie dojrzałej, ostrej choroby, higiena życia mas robotniczych — ważniejsze usunięcie warunków na choroby. Lekarstwa, sondy, zastrzyki, chirurgia to siły fizyczne i chemiczne, dobre siły przyrody przeciw złym, rujnującym organizm. Ale kiedyście wychodzili z kopalni, z hut, albo z robotniczego przedmieścia — rysowała się w Waszym umyśle prostsza recepta. Tym ludziom inne mieszkanie, inne pożywienie, inną ochronę i higienę pracy, inny czas pracy, odpoczynku, powietrza, słońca a na ostatek dopiero nas — lekarzy.

I w tym momencie łapaliście się, że receptę Waszą kreślił już nie tylko lekarz, ale również — rewolucjonista. Zapisać powietrze, zapisać słońce to wcale nie błaża. Zapisać dziecku mleko i jeszcze raz mleko! Ale na wykupienie takich lekarstw nie wystarczała dobra wola górnik, potrzebna była społeczna wola klasy robotniczej i chłopskiej i naszej, inteligentkiej.

Młody lekarz, wsłuchiwał się w odgłosy nabrzmiewającego konfliktu, który zapowiadał, że największym lekarzem będzie nowy ustrój. Zazdrościliście nieraz tym przyszłym lekarzom, którzy będą mieli szczęście składać swoje dalekosiężne projekty (naukowo uzasadnione!) bez popadania w konflikt z panującymi siłami społecznymi. Czyniliście poprawkę. Nowy ustrój to dopiero początek wielkiego dzieła odpracowania niszczących warunków życia mas, warunków budowanych przez stulecie.

I znów wracaliście myślą do waszego „dzisiaj”. Pediatra — lekarz dzieci. Dobrze, czy źle? Ważna, czy błaża pozycja? Ach, Doktorze i ta nowa gałąź medycyny to znamie czasu. Wasze powietrze i słońce, przeszedła ta idea przez Europę, stawiana tam ostrzej, niż u nas. W kraju udało się ją spłycić, obsunąć z torsu dorosłego robotnika do wysokości jego paroletnich dzieci. Filantropii odpowiadało hasło: nieśmy pomoc dzieciom. Nie brzmiało klasowo, nie odstaniało ustroju. Ale wycie ważąc to kapitalistyczne ustępstwo, ten mieszczański sentymentalizm, rozkochany w małych murzyniatach, a dorosłych obracający w niewolników, Wyście widzieli w tym obłudnym uznaniu praw dziecka — bombę, która rękami lekarzy i społeczników założona, wybuchnie w przyszłości przeciw ustrojowi.

Opieka nad dziećmi, to przecież obok słońca, dostatecznego odżywienia, higienicznych mieszkań i warunków pracy — podstawowy punkt społecznej organizacji zdrowia. Robotnicy, zgłaszający się do Was, przynosili w sobie historię choroby. Siegała ona w 90% dzieciństwa. A zdrowie dzieci to nie tylko sprawa czułościwej filantropii liberalizmu, to także — program państwa ludowego. Siedzie obliczenia prof. Wierzejewskiego: na 60.000 kalek w Polsce 80—90% byłoby od kalectwa wolnych, gdyby wcześniej, za młodu je leczono. Wczytując się w Pirguetowski system odżywiania; jakże stosunkowo tanio można hodować i rozwijać poprawnie młody organizm.

JAKO LEKARZ...

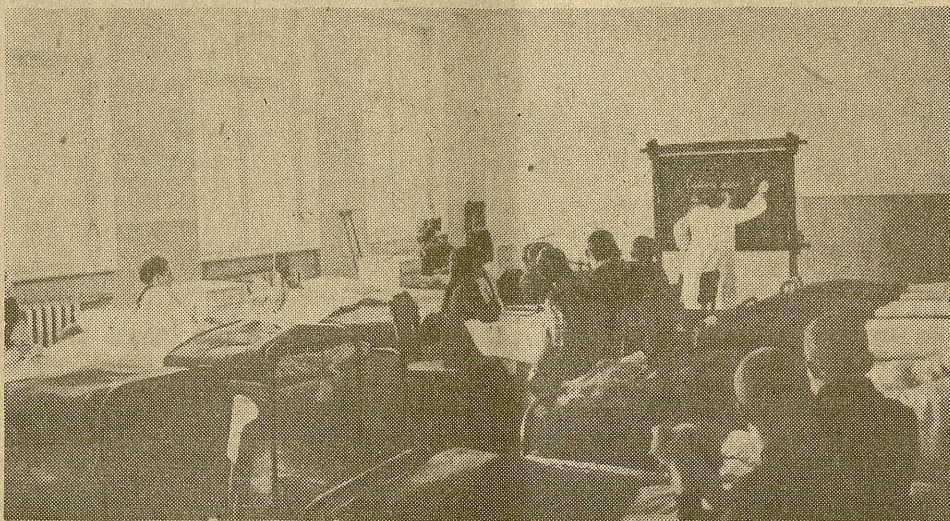
Doktorze, w czym się kryje tajemnica Waszego talentu, przez co staliście się siłą społeczną? Myślę, że dwa trzeba podnieść momenty. Osaczony warunkami społecznymi w Kongresówce pierwszych dziesiątków XX wieku rozumowaliście wprost przeciwnie do Judyma. Ja jestem lekarz. Przede wszystkim lekarz! I na pytanie: czyś pan postępować, czyś pan rewolucjonista? — odpowiadam: sądzicie mnie po tym, czy zmieniłem narzędzia leczenia, czy zmieniłem organizację leczenia, czy wprowadziłem nowe metody, nową instytucję leczenia, jeżeli tak, to macie odpowiedź. Zmiana techniki medycyny, jako części sił wytwórczych, zmienia realnie stosunki społeczne.

Przecież to było wiadome, że Judym po powrocie z Paryża nie znalazł społecznych warunków na maksymalne ambicje nowoczesnej medycyny. Książka Żeromskiego udawała, że to leżało w jej założeniu. Gdzie się Judym nie pojawił, czy to w kole warszawskich lekarzy, czy w uzdrowisku Cisy, czy w ambulatoriach fabrycznych na Śląsku, wszędzie to samo, konflikt nowej medycyny z panującą strukturą ekonomiczną i ustrojem społecznym. Judym opuszcza książkę przegrany po jednej i drugiej stronie. Judymom trzeba było dopiero dać uspołecznione warunki, a wtedy, nie zrzekając się tytułu „społecznika”, byłiby lekarzami. I dlatego w tych latach wpędzali oni inteligencję w błędne koło.

Doktorze, o jakżeście się Wy uparli. Moim zadaniem jest, aby bronią lekarza zmienić indywidualne oblicze wydarzeń w kierunku, jaki już im nadaje osiągnięty rozwój sił wytwórczych.

Drugi moment, to Wasz sposób rozwiązania tego historycznego zadania. Że nie łatwy, wskazują na to katastroficzne życiorysy bohaterów Żeromskiego. I tu trzeba podziwiać Wasz najwyższy związek z epoką, z jej materialnymi i społecznymi warunkami. Wyodziliście najpierw od warsztatu. Zawracaliście myślą być może do Chałubińskiego. Do jego dwu sławnych rodzajów klimatu — malarycznego i górskiego. To on na kilkadziesiąt lat i w Warszawie i w Krakowie wywołał panikę przed malarią. Każda gorączka była... malaryczna — w Warszawie zużyto nie mało tonu chininy. W Krakowie najpierw Przybyśzewski, a potem Boy i to całkiem serio tłu-

maczyli i melencolię miasta i samobójstwo Bałuckiego malarycznym klimatem okolicy. Była to bujda. Żeromski tę właśnie fikcyjną sytuację klimatyczną wpakowuje w Cisy. Chałubiński odkrywa klimat zdrowia — Tatry. Ale wkracza do nich bez planu. Nie ubezpieczy górali i nie zabezpieczy uzdrowisk dla mas pracujących. Góralami jest zachwycony. Wydaje mu się, że są oni wytworem klimatu. Ani mu w głowie ich odludwiać, uzbroić w oświatę, w postęp techniczny i organizację społeczną na sukcesywne odparcie inwazji kapitalistycznego interesu. Nie przeczuwa tej inwazji, choć sam był właśnie różdżkarzem, który klasom posiadającym odkrył Tatry. Witkiewicz pisał pod koniec wieku XIX, że Chałubiński nie miałby co tu robić „ponieważ to co się w Zakopanem stało, jest bezwzględnie inne niż to, o czym mógł marzyć”. Zabrano góralom powietrze, przemienione w uzdrowiska, wody lecznicze, sanatoria. Nie miały być dla nich, ani dla mas pracujących z nizin.



Lekcja dla chorych dzieci w sanatorium na Górze.

Coś tak taniego, jak powietrze i wody i tak zarazem drogiego, kiedy się stały łupem kapitalistycznej organizacji zysku.

To było dla Was Doktorze, poszukującego również taniych źródeł leczenia — ostrzeżeniem. Gdzie Dąbrowa — gdzie Busko? Ale prace lekarzy z XIX w. mówią Wam o cudownych własnościach źródeł starczanych. Gruźlica kostno-stawowa, anemia, skrofule, krzywiца, reumatyzm, kiła wrodzona, limfa, schorzenia układu nerwowego. Do tego dodać kąpiele słoneczne, odżywienie właściwe, krajo-braz i wiedzę pediatry — wychowawca a pozostanie tylko... postawić sanatorium na szklanej górze...

Oto punkt drugi. Od jego rozwiązania zależy i pierwszy. Bo przecież, Doktorze, chcecie sanatorium społeczne, „nie mającego na widoku żadnej materialnej korzyści”, chcecie, aby w nim leczyły się dzieci najbiedniejszych warstw. Chcecie, krótko mówiąc, udostępnić nową instytucję (nowe narzędzie) medycyny nowym środowiskom i dla nich ją zabezpieczyć.

Startujecie, o Boże, mając 40 lat. Piętnaście lat marzeń, obliczeń, pewnie i wątpliwości i przynależających doświadczeń w śląskiej rzeczywistości i wreszcie gromadzona latami energia eksploduje. Druga młodość! I tak jest wówczas naprawdę. Bo i to niech będzie powiedziane: Judymowi przeszkadza Joasia. Wy, kiedyś ojciec rodziny, teraz nowy los podejmujecie z młodzieńką studentką, która w drodze do doktoratu, z Wami buduje i organizuje sanatorium.

Na czym opieracie pewność sukcesu? Na filantropijnej fundacji? Nie — to droga wzdychań Żeromskiego i szczególnej okazji Brudzińskiego. Dzieło jakie podejmujecie, to zamach na panującą stosunków społeczne. Po dwudziestu latach, umocnieni w posiadach, będziecie grzmieć na całą Polskę, że trzeba dla chorych dzieci 35.000 łózek, a jest ich, horrible dictu: — 3.000. Ale kiedy Wyście zaczęli, nie było ani jednego! Nie chcecie popełnić błędu Judyma. Trzeba zagrać na sentymentem społeczeństwa polskiego. „Wielce szanowny panowie Ziemianie i Mieszczanie...”

Gdyby w Waszym planie była droga Brudzińskiego, zaczęlibyście, jak to wskazywał Żeromski, od kapitalistów Lesów i Granowskich. Cóż zaczęliście 100.000 podarowanych koron, kiedy przedsięwzięcie szło w grube miliony. Sto tysięcy wraz z groszami wdowimłoby uczynić ruch około sprawy. Ta przychylna, (tak tamta) opinia społeczna miała Wam pomóc w atakowaniu i zaraniu odrodzonej ojczyzny rządu, ubezpieczalni i sejmików. Wasze doświadczenie ze Śląska było ugruntowane na przykładzie ze Związkiem Zawodowym robotników. Od r. 1906 — do końca 1907 Związek Metalowców w samej Dąbrowie Górniczej osiąga 1522 członków. Aresztowania przerywają legalne życie Związków na całe lata (1908 — 1913), ale znów odradzają się w 1913 r.

W Waszym przedsięwzięciu w Busku macie poparcie śląskich robotników, ich nacisk na magistraty i sejmiki. W Waszym planie leży oparcie sanatorium na spółdzielczych podstawach, gdzie w pierwszym rzędzie członkami byłoby społeczne instytucje: samorządy i ubezpieczalnie, a więc te, które z natury swej reprezentują interesy dółów społecznych i dają niejaka gwarancję selekcji, wedle stopnia istotnych potrzeb z danego terenu.

Jest wreszcie trzeci tor Waszej realizacji. To Wasza wytrzymałość i budowanie własnych podstaw gospodarczych sanatorium. Brudzińskiemu fundatorce w 3 lata wysta-

wia olbrzymi szpital, zaopatrzone w nowoczesne wyposażenie kliniczne. Wam upłynie 10 lat, zanim główny pawilon stanie pod dachem, choć po bokach zdążyliście rozsiać wiele domków, choć powstało z 2 ha ogrodu z biegiem lat 48-hektarowe gospodarstwo z blisko 2.000 drzew owocowych, choć wcześniej o 4 lata wystawiliście cegielnię Hoffmannowską (jedyna na kilka powiatów okolicznych) o produkcji 2 milionów cegieł.

Doktorze, a wybraliście górę zwirową i jałowcową, gromadki serwitut, nieużytek kompletny. Po latach wybujały z jednej strony tysiące jabłoni, grusz i wiśni z drugiej tysiące sosen, brzoź i topoli; dała Wam ziemia u zbocza gline, trysnęła góra jeszcze jednym źródłem siarczanym, a Wy pokrzyliście ją 30 budynkami, z których kilka jest paropiętrowych. Tylko do dziś jeszcze nie macie na „Górze” mieszkania dla Naczelnego Dyrektora, tzn. dla siebie nie macie.

Ale kto prowadził taką politykę, że udział

Wiersze hiszpańskie

Jose Bergamin

PARTYZANTKA

Wczesnym rankiem partyzanci
W lekki śnieg ją zakopali.
Krocie śniegu, ileż śniegu
Osypało na nią niebo.
I całunem przyodziało,
Białą kopczyk użyło...
I pomniczek z lśniących sopli
Wybudował nad nią zmierzch.
Cisza ją ukołysała,
Samotność ją przytuliła
I w bezkresnym śnie marzyła
O Hiszpanii swej...
A gdy będą szli po śniegu
Przez przełęcz partyzanci,
To już tylko echo znajda,
Nikły ślad, daleki zew,
Czyste, święte jej pragnienia
Cel, co mroki rozpromienia,
Żywe hasło jej imienia,
Zmilkłych kroków szept.
Tędy ona szła, patrzajcie,
Niosła z sobą blask przedświata.
Okrzyk jej pod niebo sięgał
Ziemia pomści ją.
Teraz w grobie opuszczonym
W miękkim półmroku obleczone
Niby wiosna w sadzie śniegu
W białej głębi śpi.
A mgły szorstkie, a mgły nocne
Osuwają niebo mocne...
Ale wiosna odrodzenia
Mgiei rozwikła zwój.
Wtedy wiosną na spotkanie
Partyzantka inna stanie,
Na zwycięski bój.

Wolny przekład Tadeusza Chróścickiego.

* Jest to końcowy fragment poematu poświęconego pamięci Zoi Kosmodemiańskiej.

Federigo Garcia Lorca

ROMANS

O CZARNYM SMUTKU

Koguty szukają zorzy
Grzebiąc w obłokach zawojach,
Gdy schodzi z gór przygarbionych
Smągla Soleda*) Montoia.
Miedź rozpalona — jej ciało —
Ciemnością pustyni dymi
Piersi jej — twarde kowadła —
Pieśniami są okrągłymi.
— Soledo, czego ci trzeba?
Jesteś samotna wśród nocy.
— Wiem sama czego mi trzeba
I nie chcę twojej pomocy.
— Soledo, dzięki mój smutek
Pędził, jak wściekła kobyła,
A teraz w morzu utonął,
Morze to jego mogiła.
— Nie mów mi, nie mów o morzu
Bo czarna trawa rozpaczy
Na ziemi gajów oliwnych
Po nocach w oczy mi patrzy.
— Soledo, ty jesteś smutkiem.
Cierpienie ci otumania
I kłask cytrynowym sokiem,
Cierpkim od oczekiwania.
— O smutku! Biegnę szalona
I nie wiem czego tak, zał mi,
Wloką się moje warkocze
Od kucmi aż do sypialni.
O, smutku! Dział się, ubrałam
W węgiel, i w mrok, i w żalobę.
O, świeże moje koszule!
Suknie do maków podobne!
— Umyj się wodą błędną
I ucisz rozterkę swoją.
O, zaśnij moja Soledo,
Zaśnij, Soledo Montoio!
W dolinach śpiewają rzeki —
Huśtawki liści i wiatrów,
Nad nimi wznosi się księżyc
W wianusku dyniowych kwiatów.

Wolny przekład Włodzimierza Słobodnika

*) Soleda — hiszpańskie imię żeńskie oznaczające smutek.

FEDERIGO GARCJA LORCA

Wybitny poeta hiszpański, Federigo Garcia Lorca, pochodził z zamkowej rodziny chłopskiej. Urodził się w roku 1899 w miasteczku Fuentenaceras. Od roku 1919 Lorca mieszka w Madrycie. Pisze i zdobywa tu szybko popularność. W roku 1920 teatr „Eslava” wystawia pierwszą jego sztukę „Czarodziejstwo motyla”. W następnym roku Lorca wydaje pierwszy tom swoich wierszy „Libro de poemas”. Książka ta ukazała się podczas najbujniejszego rozwoju ultraizmu, który był pewną odmianą futurizmu hiszpańskiego. W roku 1927 ukazał się drugi zbiorek jego wierszy „Pieśni”, a w roku 1929 Lorca wydaje „Romanse cygańskie” („Romancero gitano”). Wiersze te cieszyły się niezwykłym powodzeniem. Poszczególne romanse z tego zbioru w tak wielkim stopniu zyskały sobie sławę pieśni ludowych, że lud hiszpański nie łączył ich z nazwiskiem autora, uważając je za twórczość bezimienną.

W roku 1930 Lorca wyjechał do Ameryki. Zwiększając Kuba, przejął się poezją południowo-amerykańskich Murzynów i napisał „Sen czyli pieśń murzyńskie” odznaczające się niezwykle oryginalną formą. Lorca, gorący zwolennik republiki demokratycznej, dopiero wtedy wrócił do Hiszpanii, gdy tam ugruntował się ustrój republikański. Po powrocie do ojczyzny został dyrektorem teatru objazdowego, przeznaczanego dla chłopów.
Ostatnie lata swego krótkiego życia Lorca poświęca całkowicie teatrowi i pisze szereg świetnych sztuk poetyckich opartych na hiszpańskim folklorze. Do najpiękniejszych należy zaliczyć sztukę „Krwawe Gody”. W sierpniu 1936 Lorca został zamordowany przez faszystów hiszpańskich. Pochowano go we wspólnej mogile wraz z innymi republikanami, rozstrzelanymi tego dnia.

Jan Aleksander Król

przełożył T. Ch.

HISZPANIA RUCHU OPORU

Ostatni list Krystiana Garcji

Krystian Garcja, urodził się w Austrii w rodzinie górniczej. Miał 16 lat, gdy zaczął się rokosz sen. Franco. Wstąpił na ochotnika do armii ludowej i bił się w jej szeregach dopóki faszysty nie zajęli Austrii, poczem walczył jako partyzant. Republika przyznała mu stopień majora. Po klęsce przeszedł granicę francuska, zbiegł z obozu koncentracyjnego. Po wkroczeniu Wehrmachtu do Francji był jednym z pierwszych organizatorów oddziałów dywersyjnych w górniczych okęgach Haaru. Ruch partyzancki, któremu dał początek objął szereg sąsiednich departamentów. Garcja został dowódcą zorganizowanej przez siebie trzeciej dywizji partyzanckiej. Po zakończeniu wojny przedostał się do Hiszpanii, gdzie objął dowództwo podziemnego ruchu zbrojnego. W 46 roku schwytany i skazany na śmierć przez frankistów, wysła do towarzyszy broni obszerny gryps, którego fragmenty podajemy poniżej.

Drodzy Towarzysze!

Zapewne zdziwieni jesteście moim długim milczeniem, bałem się wszakże, by list nie dostał się w niepowołane ręce.

Cóż by Wam napisać o obchodzeniu się z nami w więzieniu? Wpadłszy w ręce wroga gotów byłam na wszystko. Tylko pierwszego dnia postępowano ze mną poprawnie — wtedy gdy mnie pojмали. Wykwintne papierosy, słowa pełne wyszukanej uprzejmości, nawet propozycja... „zorganizowania” mojej ucieczki pod warunkiem, że przejdę do nich na służbę. A potem... „sesje”. Na trzeci dzień krew lała mi się z uszu. Po każdej sesji z trudem taszczyło mnie czterech policjantów. Gdy omdlewałem, zlewano mnie wodą i znów. Tak 12 dni. Potem 3 dni spokoju i znów cały tydzień. Sądzę, że zawsze zylem tak, jak żyć powinienem. Nie piszę tego przez samochwalstwo. Zdaje mi się, że zbliża się koniec, toteż chcę, by list ten, jeśli tak się zdarzy, że będzie ostatni, mówił nie tylko o tym cośmy przeszli, ale także, żeby Wam pomógł zdemaskować przed światem metody tych zbirów i pokazał o ile możności, jakim powinien być żołnierz demokracji zawsze, a więc i wtedy, gdy nieszczesny los zaprowadzi go w ręce wroga.

Jak powiedziałem, położenie moje i kolegów jest beznadziejne.

Chcę nas wplatać w kryminalny proces sądowy, zgładzenie bowiem za działalność polityczną byłoby ze względu na sytuację międzynarodową mocno kłopotliwe. Starają się udowodnić nam grabież i temu podobne.

Manuelo Ponte

List otwarty do posła angielskiego w Hiszpanii

Manuelo Ponte był dowódcą Czwartego Partyzanckiego Zjednoczenia Galicji, poległ w walce z falangistami w 1946 r. Powyższy list pojawił się na trzy miesiące przed jego śmiercią w piśmie podziemnym „El Herillero”. Po stem angielskim w Hiszpanii był w tym czasie Wiktor Mallet.

Panie Pośle!

Dowiedziawszy się, że bawi Pan na terenie Galicji, nie mogłem oprzeć się chęci zwrócenia się do Pana. Z chęcią zetknąłbym się z Panem osobiście, zbyt wielka wszakże przepaść społeczna dzieli bezimiennego bojownika Oporu i znakomitego przedstawiciela Jego Królewskiej Mości, władcy Wielkiej Brytanii.

Z drugiej zaś strony znalazł Pan już i tak idealnych amfitrionów w osobach gubernatorów i wyższych urzędników falangi, którzy tak serdecznie przyjmują tu Pana jako swego dostojnego i miłego gościa. Jakżeż się czasy zmieniają, Panie Pośle.

Przyjechał tu Pan w nadzwyczaj ciekawym momencie. Nie wiem czy przewidziano w rozkładzie objazdu zwiedzania więzień Galicji, a także czy asystował Pan przy radach wojennych, kiedy to wyroki śmierci syją się nie rzadziej niż za najlepszych czasów Hitlera. A może dostał też Pan zaproszenie na uczestnictwo przy egzekucji Luisa Blanco i Diego Valero — odbyła się 3 października w Ponte Vedre, 20-go tegoż miesiąca powieszono w Lugo Manuela Alvareza, 21-go również w Lugo — Julio Niego i Ramona Vivero. Pańską uwagę zajęły tak mocno niezrównane pejzaże Galicji i tak wzruszyło ujmujące przyjęcie organizatorów tamtych zbrodni, że nie stało czasu zastanawiać się nad tymi faktami, tak dla Pana trywialnymi. Prawdę rzekłszy, nie wielkiego.

Cóż znaczą dla Rządu J. K. M. śmierć pięciu synów Hiszpanii!

Gdyby to był arcybiskup Zagrzebia — hitlerowiec, a, to co innego!

Lecz dla gentlemna, jakim Pan jesteś, pięciu zabitych nie przedstawia przecież żadnego interesu.

Zapomniałem powiedzieć, że przy pierwszych trzech „przesłuchaniach” asystował... „bosz”, który oznajmił mi, że zachował o mnie... bardzo dobre wspomnienia z czasów walk we Francji. Na trzeci dzień, pożegnał się ze mną z błazeńską uprzejmością, gdy oczekiłem krwi. Dmuchał mi w twarz dymem i rzekł: „No przyszedł czas, gdyśmy cię wreszcie złapali”. Wybaczenie, gdy list przyjdzie z opóźnieniem. Piszę z przerwami i w strasznym zdenerwowaniu. Trzymają mnie w klatce jak małpę, brak tylko dzieci, które rzuciłyby we mnie orzechami.

Trzymam się.

Gdy przeszedłem granicę, by zająć znów swój posterunek w walce z faszyzmem wiedziałem, że nie czeka mnie tam droga usłana różami.

Pamiętam, jak przykro mi było we Francji, gdy koleżdy wcześniej ode mnie wracali do ojczyzny.

Tu nasze miejsce. Było i jest. Gdy nas nie stanie, następni przejmą walkę, aż wreszcie...

Na rozprawie zeznał przeciwko mnie jakiś osobnik, którego nigdy nie widziałem na oczy, a który twierdzi, że był moim podwładnym i że poznał mnie w Madrycie, akurat na dwa miesiące przed dniem, w którym przeszedłem granicę francusko-hiszpańską...

Chcę dać Wam kilka rad. Myślę, że się przydadzą. Sytuacja dobra. Widać wyraźnie, że tych psów nic w większą konsternację nie wprowadza, jak nasz ruch. Trzeba mocno przykładać się, by się rozwinął. Należy rozważnie dobierać przywódców, a przytem uściślić zasadę, by nikt nie wiedział nic ponad to, co go bezpośrednio dotyczy. Trzeba dbać o wychowanie partyzanta — demokracji.

Powiedzieć od nas Dolores: — Jej imię — nasz sztandar. Towarzyszko Dolores — Nasza Przewodniczko, Nauczycielko śmiałych. Gdy dowiesz się o tym liście, nas już nie będzie wśród żywych. Chcemy Ci rzec, że nie nie zdołało wyrwać z naszych ust jęku. Wierzę, że tysiące Hiszpanów doprowadzi do końca walkę z faszyzmem.

Twoje imię czci i kocha tysiące najlepszych synów naszej ojczyzny. Wszystko mi jedno, co mówią o mnie faszysty, ważne to, co powie Naród, któremu winni jesteśmy wszystko. Niech żyje Wolna i Ludowa Hiszpania!

Więzienie Carabaicelia, 15 luty 1946.

broń Boże, suwerenna, powiększy ilość zer na dywidendach wysoko postawionych koryfeuszów brytyjskiego imperium. I bez wątplenia dlatego, nie zaś dla podziwiania bukolicznych krajobrazów Galicji, wybrał się Pan w wojaż wzdłuż granicy portugalskiej.

Pozwolę sobie z całym należnym mu szacunkiem spytać Pana, czy w Pańskim kraju pamięta się o zamachach na angielskie konsulaty, o kamieniach ciskanych przez falangistów?

Czy pamięta się o „błękitnej dywizji” i grubiaństwach Franco pod adresem „zgnitych demokracji”?

Czy może Pan zaprzeczyć tym faktom ministrze Mallet?

Nasza pieśń ludowa powiada: „Najbardziej głuchy to ten, co nie chce słyszeć”. A wy nie chcecie niczego słyszeć poza brzękiem złota, niczego widzieć poza świętą racją stanu imperium!

Nie prosimy o rzeczy niemożliwe, Panie Pośle, i nie o to, by wylądowała tu brytyjska armia i ustanowiła demokrację na modłę grecką. Nie chcemy mieszania się w nasze wewnętrzne sprawy. Za to chcemy, by Hiszpania była naszą, biedna czy bogata, byle nasza. Wasza polityka w stosunku do Hiszpanii budzi niesmak i odrazę. Na arenie świata,

Euzebio Simorra

Kędy ogień płonie

Pierwszego kwietnia 1939 r. Franco obwieścił w wojennym komunikacie: „Wojna w Hiszpanii zakończona”. Ale to tylko na krótki czas popiół przysypał palenisko. Pod popiołem tlał węgiel. I wnet płomień ogarnął sine wzgórza Grenady, ziemię, na której zginął Lorca z twarzą obróconą ku karabinom i gwiazdom, stępy Fuenteovejuna, gdzie to chłopci dźwignęli się już raz na wyżyny ni-

który tak bardzo potrzebuje sprawiedliwość i rzetelności, występujecie w stosunku do tego ostatniego oplotka faszyzmu jak druga kolumna. Wasi delegaci na sesjach ONZ przywdziewają togi adwokatów hitlerowskich kontusznych.

Wzamian za nasze produkty rolne posyłacie frankistom broń, aby zabijał naszych rolników i gasił krwią tęsknotę za wypełnieniem czterech punktów Karty Atlantyckiej.

Panie Pośle, proszę mę wybaczyć niedostatki literackiego stylu. Jam tylko herillero — człowiek, który 10 lat temu uszedł w góry, ponieważ nie mógł się pogodzić z kapitulacją przed faszyzmem.

Być może, jestem także dla Pana bandyta. Tak Rzymianie nazywali Viriatusa, tak Napoleon nazywał tych, którzy krwawili się w obronie niepodległości Hiszpanii.

Jaki by nie był pański stosunek do nas, pozwolę sobie dać jedną radę: niech Pan zapozna się z naszą historią. Wtedy zrozumie Pan, że duszy służalczej nie mamy i podobni jesteśmy do deba galicyjskiego, co to rozbiły błyskawicami z rozorzanymi gałęziami, wcześniej czy później wypuszcza świeże pędy, mocne, zakwitające, a to dlatego, iż korzeniami tkwi mocno w mężnej naszej ziemi.

5 października 1946 rok.

Jak stał

1. „Nasi ludzie podobni do stali — złać ich można, zgnać nigdy”. — Dolores Ibbarruri, na plenum Hiszpańskiej Partii Komunistycznej w Paryżu — marzec 1947 r. —

2. Juan Martine — Empecinado — nieustraszonego partyzanta w wojnie 1808 r., trzy razy uciekał z więzienia, przy czwartej próbie ucieczki raniłony przez straż konwojową.

— Hiszpańska encyklopedia.

Ramon Via żył w sto lat po Empecinado. Hiszpanie i partyzanci, obaj nieustraszeni, obu o promienia legenda. Ramon Via też uciekał dwa razy z więzienia. Empecinado raniłony został na drodze. Ramon Via — zabity na ulicy. Empecinado — „umazany” nazwany był dlatego, gdyż w dawnych czasach inkwizytorzy smarowali oskarżonych rybim tłuszczem i turlali w pierzach. Frankistowska inkwizycja zna tortury o wiele efektywniejsze. Ramon Via przeszedł przez wszystkie. Przechadzka po brytwach, „elektryczna żona”, „samolot” — specjalny aparat, do którego przywieszają ofiarę głową w dół, póki krew nie wytryśnie z uszu.

Strajk

„Skończyliśmy z czerwonym świętem 1-go Maja” — radio — Madryt — 30 kwiecień 1947 r.

Franco skasował święto pierwszego maja, nie mógł go jednak wydrzeć z serc robotników hiszpańskich. Bilbao — to centrum przemysłu metalurgicznego. Kraj Basków to kraj żelaznej rudy i żelaznych ludzi.

Cieczę tutaj rzeczka Nervion — zabarwiona minerałami spoczywającymi na dnie. Baskijski hymn zawiera takie słowa:

„Wody Nervionu różowe od krwi...”

To przelana w walce krew robotników i całego narodu. 80 dni i 80 nocy opierało się Bilbao samolotom Hitlera i Franco.

Najlepszą stal Hiszpanii wytapiają huty Bilbao. W dniu pierwszego maja 47 r., nie uchylili się robotnicy baskijski od udziału w święcie ludzi pracy całego świata. W ten dzień nie były młoty po kuźniach, nie szczekały wagonetki, nie płynął ognisty metal.

Ponad 90% robotników nie zjawilo się w zakładach pracy. Franco usiłował stosować dwa środki: intrygi falangowych syndykatów i

stori, równiny La Manchy — tam w cieniu dąbrowy Don Kichot rozprawiał z pastuchami o sprawiedliwości i swobodzie, nieożkiewną Katalonię, gdzie wrą odwieczne bunty w imię wolności, krainę Basków...

Rozniecił go wiatr wiejący od walczącego Stalingradu i entuzjazm majowych zwycięstw. W ciągu tych dziesięciu lat dojrzało i obecnie umiera za ojczyznę nowe pokolenie.

Znudzony zadawaniem tortur, kaci frankistowcy rzekli raz Ramonowi Via:

— Jeżeli przemówisz, puścimy cię wolno.

— Nie wy mi dacie wolność, ale moi koledzy i wtedy przemówię.

I przemówił. Partyzanci Malagi zorganizowali jego ucieczkę, skazany uprzednio na śmierć, stał się oskarżycielem. Opublikował wstrząsającą broszurę: „Oskarżam” — niesamowity dokument demaskujący całe okrucieństwo frankistowskich zbrodni. Ramona Via, uczestnika francuskiego ruchu oporu w Oranie i Algierze trzy razy skazywano na śmierć rząd Vichy, nie uniknął zaś śmierci z rąk swoich. Czekali na niego na rogu. Ze wszystkich stron podniosły się rewolwery. Niedługo z drużyną partyzancką stawiał czoło całemu oddziałowi esesowców. Teraz sam rzucił się na pluton gwardii i padł przesyty kulami.

Tacy są hiszpańscy partyzanci. Sanchez Viedma, znany we francuskich oddziałach bojowych pod pseudonimem „Toures’a” zmarł w lochach Generalnego Urzędu Bezpieczeństwa w Madrycie, przeszedłszy przez wszystkie tortury i przewlekłą agonię. Setki zabitych bohaterów wzywają Hiszpanię do boju.

groźbę. Bez skutku. Robotnicy podporządkowali się zarządzeniom podziemnych demokratycznych syndykatów — uznają bowiem tylko jedną władzę — Radę Oporu.

To nie był zwyczajny strajk ekonomiczny, to był wielki strajk polityczny o prawa demokratyczne pracujących. Dziesięć dni trwała walka. Do strajku przystąpili robotnicy innych gałęzi przemysłu. Wywołało to entuzjazm, w całym kraju podkreśliło międzynarodową solidarność świata pracy.

I robotnicy zwyciężyli. Spełniono ich żądania. Wtedy przystąpili do pracy. Franco chciałby zemiść się na strajkujących, nie zna jednak prowadzyc. Strajk w Bilbao nie był faktem oderwanym, był dopiero początkiem walki. Wykazał dojrzałość środowisk robotniczych, poczucie międzynarodowej solidarności świata pracy. Wykazał jeszcze, że demokracja hiszpańska potrafi przejmować inicjatywę i że ludzie pracy przodują w walce.

A chłopci? Parobczaki, którzy dziesięć lat temu stawali z myśliwskimi strzelbami w okopach madryckich, by powstrzymać faszystów, dzisiaj widami i sierpami zabraniają falangistom grabić plony Fuenteovejuna i Leridy, wiosek Kastylji i Leonu.

W POWSTANIU I NA EMIGRACJI

Szymon Konarski „z czynu wyszedł, nie z księgarni”. W tym dobitnym wyrażeniu, którego używał Ludwik Mierosławski na określenie ludzi walki, zawiera się pełna charakterystyka osobowości Konarskiego. Lata szkolne spędził wśród rosnącego ucisku caratu na ziemiach Królestwa po wykryciu działalności niepodległościowej Waleriana Łukasińskiego i towarzyszy. Bohaterska postać Łukasiewicza wryła się głęboko w pamięć ucznia szkoły łomżyńskiej Szymona Konarskiego i świeciła mu odtąd jak gwiazda przewodnia w mozołnej wędrówce życiowej. Życie Szymona było twarde, zahartowało ono duszę na lśniąca stal, której się nie jęła nigdy rda kompromisów, oportunizmu i służalstwa.

Konarski, opuszczając w 17 roku życia mury szkoły wojewódzkiej w Łomży, wybrał sobie zawód wojskowy, chciał być żołnierzem, jak jego ojciec i dziad służyć ojczyźnie, wiernie, bez reszty. Nie był tak szczęśliwy jak oni. Ojczyzna, której chciał służyć była w niewoli, wojsko polskie pod butem chana w mitrze Romanowych Wielkiego Księcia Konstantego, losy królestwa w rękach kąt w koronie Mikołaja — „Pałkina”. Nad Nową unosili się cienie pomordowanych przez niego rewolucjonistów rosyjskich — dekabrystów: Pestela, Murawjewa — Apostoła, Besiuzewa, Rylejewa. Tworzyły one panoramę dla carskich metod rządzenia w Rosji i w Królestwie i miały stanowić groźne memento dla wszystkich „niebiahonadoźnych” (nieprawomyślnych).

Bohaterska śmierć dekabrystów i wielkość ich ofiary na ołtarzu wyzwolenia narodu rosyjskiego spod jarzma caratu utkwiły również głęboko w świadomości Konarskiego.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe i udrencyjony naród polski porwał się do walki z caratem, Konarski stanął ochotczo w szeregach walczących „za naszą i waszą wolność”, złożył dowody dzielności i umiejętności wojskowych, zdobył odznaczenia bojowe i awanse. W stopniu kapitana przekroczył granicę pruską, przeszedł germańską „kwarantannę” i wiosną 1832 r. znalazł się na emigracji we Francji w Zakładzie bezansońskim.

Zamknęła się jedna karta życia bez skazy, otworzyła się druga, tułacza, konspiracyjna, męcząca. Konarski nie zapuścił pióra w brudy emigracyjne, nie rozpylniał się w szumnej, swarnej, mętnej najczęściej retoryce gryzących się nawzajem obozów. Konarskiego jako człowieka czynu pociągała przede wszystkim konspiracja prowadząca do prawdziwej rewolucji ludów przeciw tyranom i do niepodległej, demokratycznej, republikańskiej Polski. Szymon został karbonarem (węgierzem), studiował pilnie ruchy społeczne Wielkiej Rewolucji Francuskiej w ujęciu saint-simonistów Laponneraya; przetrwał doktryny socjalistyczno-utopijne Saint-Simona, Fouriera, Owena, Cabeta i innych. Człowiek wstąpił do burżuazyjnej monarchii Ludwika Filipa, drążącej przed carską nahałką; widział szanbioną trójkolorową chorągiew paryskich sankiulotów przez bankierów, fabrykantów, armatorów, a nawet sklepikarzy, co w bałwochwalczym kulcie franka zapomniał o wolności i spychał brutalnie obrońców lipcowych barykad (1830) do podziemia. Taka Francja nie mogła pociągać Konarskiego. Zawarł więc sojusz bratni z konspiracyjną lewicą francuską i pod sztandarem węglańskim poszedł siał gniew ludów przeciw ukoronowanemu tyranom. Widzimy Szymona jako partyzanta Zalińskiego w r. 1833 w austrijskim kraju strzelającym na ramieniu agitującego naprzód wśród włóścian za powstaniem. Myślał wówczas, że wystarczy ludowi rzucić płonące nienawiści do caratu słowa, a on porwie widły, siekiery, kosy i śladem Bartosza Głowackiego runie lawiną na carskie armaty.

Niestety, stało się inaczej. Chłopi ściśnięci obrozą pańszczyźnianą nie usłuchali wezwania Konarskiego, nie poszli do partyzantki. Nie poszła do niej również poza nielicznymi wyjątkami majątna szlachta, truchlejąca na samą myśl o zmianach na korzyść ludu w ustroju folwarczno-pańszczyźnianym.

Z ciężkim sercem przekraczał Konarski po raz wtóry kordon pruski, wycofując się z augustowskiego na emigrację. Areszt, więzienie, badania pruskie, wreszcie powrót do Brukseli pod skrzydła Lelewela — oto finał wyprawy do Polski w r. 1833. Konarski wyniósł z niej pożyteczną prawdę: przyszłe powstanie polskie, aby było skuteczne, musi oprzeć się nie tylko na szlachcie, lecz przede wszystkim na masach chłopskich i na mieszczaństwie. Nie może ono być dziełem przypadkowego działania, aktem pochopnym, krótkotrwałym, lecz wynikiem planowej, długofalowej propagandy, której będzie towarzyszyło życzliwe ustosunkowanie się szlachty do ludu i gotowość z jej strony do zniesienia poddaństwa i pańszczyzny oraz przeprowadzenia uwłaszczenia.

Zaledwie stanął w Brukseli, gdy wyrosło przed Konarskim nowe zadanie — marsz do Szwajcarii, do kolegów — węgierzy z „Hufoa Świętego”, by wspólnie z nimi przygotowywać wyprawę do Sabaudii. W pożyczonym ubraniu, butach i bieliznie, prawie bez pieniędzy, grą na flecie zarabiając na życie, spieszył Konarski przez Niemcy do Bienne w kantonie berneńskim. Niemordowany, z wiarą w świętość sprawy rewolucyjnej, zwycięstwo ludów i upadek tyranów pędził Szymon tam, gdzie świeciła nowa i tym razem ułudna jutrzienka wolności. Idealista i romantyk szukał Polski, jak wielu jego ziomków emigrantów, w śnieżnych górach Sa-

Witold Łukaszewicz

IDEOLOGIA SZYMONO

baudii. Twarda rzeczywistość rozwała brutalnie kruche rachuby. Zdrada Ramoriny, rozsyłka, prześladowania policyjne, praca w fabryce zegarków w Chaux-des-fonds, by w oczekiwaniu na nową okazję do boju nie marnować bezczynnie czasu i zdobyć jakiś zawód, kilkakrotne wycieczki do Bienne w związku z przygotowaniami do zorganizowania „Młodej Polski”, rozmowy z Mazzinim — zamykają działalność Szymona Konarskiego na ziemi szwajcarskiej.



Szymon Konarski
(1808—1839)

Obarczony odpowiedzialną misją przez Komitet Centralny Tymczasowy „Młodej Polski”, wrócił Konarski do Francji z nową wiarą, że ojczyznę wskrzęsić można własnymi siłami bez oglądania się na pomoc ludów lub gabinetów. Wierzył za Mazzinim w misję dziejową własnego narodu, w solidarne współdziałanie ludów przeciw despotycznym rządom, w zmierzach Świętego Przymierza. Widział w ojczyźnie potężną siłę w uśpieniu, szanbioną wielowiekową niewolą, deptaną ekonomicznym butem, jak bydo pędzoną na rzeź przez carskich generałów i oficerów, widział lud polski, cichy, pracowity, dobry, po-bożny. Puścić w ruch tę lawinę, aby zmyła wszystkich szalących despotyzmu, wszystkich jaśnie wielmożnych świeckich i duchownych, z tytułami i bez tytułów dziejowej hańby, pijawki, plugawej, wysysającej krew z chłopskiej — oto cel, któremu Konarski poświęcał ciało i duszę.

Już wcześniej, przed wyprawą sabaudzką, poznał Walentego Zwierkowskiego, męża zaufania Joachima Lelewela i wciągnął go do „Młodej Polski”. Teraz, od jesieni 1834 roku był z nim w ścisłej współpracy przy zakładaniu „gmin” i werbowaniu członków w zakładach emigracyjnych. Zarabiał na życie, wyrabiając cylindry do zegarków. Stan narostowy Konarskiego po przyjeździe ze Szwajcarii do Paryża, ilustruje dobitnie jego list z dnia 25 września 1834 r. do Hipolita Mierosławskiego. Zalił się w nim Szymon na niezyciowy los, który oddalał od niego ojczyznę. Trawiła go żądza walki na ziemi rodzimiej. Pociągę znajdował „w doskonałości siebie dla zaniesienia gałązki wolności w kraj, we wieś rodzinne, dla otarcia leź biednym nieszczęśliwym chłopkom polskim”. Od 20 miesięcy nie miał listu od rodziny... Ciężko mu znieść to osamotnienie, ale nie poddawał się depresji, duch teżał, wola nabierała mocy; ukształtowała się wśród rozmyślań nad Polską postawa ideologiczna: „nienawidził ludzi bez czucia”, „gubiących kraj czartoryszczyków i wszelakiego rodzaju arystokratów”. Na życie zarabiał dosyć, ale nie był z niego zadowolony, do szczęścia brak mu było wolnej ojczyzny. „Głodu nie cierpię — pisal — jem, śpię i pracuję; zupełnie tak jak wół, bo reszta, czyli ty, co życiem człowieka nazwać można, wydarli nam wszystkim, pozbawili nas wszystkiego, do czego nas natura przeznaczyła. O, Hipolicie, gdybyśmy mogli dojechać do momentu naszej kole!”

W oczekiwaniu na ten moment pomagał Konarski Janowi Czyńskiemu w redagowaniu radykalnego dwutygodnika „Północ” — pisma, „poświęconego szczęściu ludów północno - wschodnich”, przede wszystkim polskiego i rosyjskiego. „Północ” głosiła ośwobodzenie Polski przez rewolucję lub wojnę, przez powstanie milionów carskich niewolników lub przez wojnę państw zachodnich z Mikołajem — Pałkinem. W jednym jak i w drugim wypadku Polska może odzyskać niepodległość, naród swobodę i wolność.

Wolność nie spadnie z nieba, nie zdobędzie się jej przez półśrodki, lecz przez konspiracyjne działania, które przygotowują rewolucję, zdolną do skruszenia obcego jarzma, obalenia pańszczyzny, do nadania ziemi chłopom na własność i wprowadzenia równości politycznej, cywilnej, społecznej i religijnej wszystkich obywateli.

Biada magnatom i kapitalistom (burżuazjom), którzy zechcieliby przeciwdziałać takiej rewolucji i skąpić środków na jej przeprowadzenie. Książęta, hrabiowie, baronowie, ordynaci, dziedzice, bankierzy, monopolści, przedsiębiorcy, co dla cara nie szcze-

dzili milionów, powinni teraz zapłacić za ledy długi społeczny i dostarczyć zasobów dla rewolucji oraz „na uposażenie klas pracujących” na wsi i w mieście czyli t. zw. potrzebnych (chłopów, drobnych rzemieślników, robotników itp.).

Walka o wolność musi być aktem solidarnego działania wszystkich klas narodu: szlachty, chłopów i mieszczan, aby była uwieczniona powodzeniem. W walce tej „porównaj się różnice społeczne, majątek pojedynczych stanie się skarbem publicznym, cała ludność zamieni się w braci żołnierzy”. Tylko władza silna, oparta o cały naród, „z wszelką własnością jako funduszem wojennym” może tę walkę kierować i realizować hasło „wszystko dla ojczyzny, wszystko dla ludu”.

Lecz ośwobodzenie i uszczęśliwienie tego ludu nie może być dziełem jednego dnia. Masy są w ciemnocie, niewoli i nędzy. „Przesady, wzajemna nienawiść, samolubstwo dzieła synów jednej matki, dzieci jednego Boga”. Skinieniem nie rozleje się światła potoków, nie wyrwie się z nędzy ubogich. Powszechna swoboda rodzi się przez „wstrząśnienia, bóle, walki, krwi rozlew”. Ona jest naczelnym celem usiłowań Konarskiego i redakcji „Północ”. „Równość, formy demokratyczne są środkiem jej stałego utrzymania. Przy zachowaniu form demokratycznych ani pojedynczy despota, ani stutysięczna kasta nie zdoła poniewierać milionami”, bo te formy zapewniają równe prawa dla wszystkich, łączą dobro powszechne z osobistym. Demokratyzm — jak najbardziej szeroki — to rękojmia szczęścia — i doskonałości społeczeństwa. Aby do takiego stanu dojść, trzeba „obalić zewnętrzną i wewnętrzną ucisk”. Ta epoka walki z wewnętrznymi i zewnętrznymi nieprzyjaciółmi, jest u nas stanem przejściowym, stanem wyjątkowym, który ma swój wyłączny charakter, swoje wyjątkowe, wyjątkowe prawa — pisał Konarski w artykule p. t. „Stan przejścia i ostateczne urządzenie społeczeństwa”. („Północ” Nr 8 z dnia 30 kwietnia 1835 r.).

Nie wszystkie z przytoczonych wyżej poglądów, które zostały wypowiedziane na szpaltach „Północ”, były autorstwa Szymona Konarskiego. Inspirował je głównie Jan Czyński, utrzymujący zażyłe stosunki z kółkami rewolucyjnymi francuskimi i europejskimi, entuzjasta Fouriera. Wypowiedzi Konarskiego w „Północ” nie były w żadnym razie jakimś oficjalnym programem społeczno-ekonomicznym „Młodej Polski”. W trosce o lud i jego moralność napisał Konarski artykuł p. t. „Zbrodnie ludu są skutkiem źle urządzonego społeczeństwa”, w którym uznał podpalanie dworów przez chłopów za wynik pańszczyźnianego ucisku ze strony dziedziców; mordowanie zaś nieślubnych niemowląt przez dziewczęta chłopskie za następstwo nędzy i barbarzyńskich przesądów, panujących powszechnie na wsi. Więzienia i szubienice nie usuną tych zbrodni społecznych wśród ludu polskiego. Uczynić to może tylko obalenie tyranii i niesprawiedliwości przy jednoczesnym krzewieniu oświaty wśród chłopskiej.

Z gruntownej lektury artykułów „Północ” wynosi się przeświadczenie, że jej redaktorzy głosili zwykły egalitaryzm w dziedzinie społeczno - gospodarczej, uznawali własność prywatną i równe do niej prawo każdego obywatela. Chcieli „uszczęśliwić włóścian pogodzić ze swobodą szlachty, ze szczęściem reszty mieszkańców bez różnicy stanu, wiary i powołania”.

Nie były to poglądy, zwłaszcza w dziedzinie społeczno - ekonomicznej jasne, konsekwentnie przemysłane. Dostrzeża się także w wywodach „Północ” liczne sprzeczności, pomieszanie pojęć: lud i naród, lud i społeczeństwo. Miejscami doktryny: Babeufa, Fouriera, Saint - Simona przeplatają się z lelewelowską teorią gminowładztwa w Polsce.

Typowe poszukiwanie najlepszej, najszczęśliwszej formułki ustrojowej dla Polski, mającej odrodzić się przez rewolucję, bądź przez wojnę państw zachodnich z carską despotyczną Rosją.

Pobyt w Paryżu i współpraca ze Zwierkowskim zadecydowały o przyszłości Konarskiego. Rwący się do działania 27-letni kapitan, mający opinię nieustraszonego konspiracyjatora, nawiązał przez Zwierkowskiego stosunki z kierownictwem tajnego, ponadpartyjnego, niepodległościowego Związku Dzieci Ludu Polskiego; wszedł do jego grona i zgłosił się na emisariusza.

EMISARIUSZ

Lelewel wówczas podejmował szeroko zakrojoną akcję w kraju, oficjalnie pod firmą „Młodej Polski”, faktycznie jako szef rewolucyjnego Związku Dzieci Ludu Polskiego. Szymon Konarski był dla Lelewela właściwym człowiekiem do prowadzenia roboty spiskowej na ziemiach polskich. Wspierał go mieli bracia Adolf i Leon Zalescy oraz wyznani wcześniej, niefortunny emisariusz Tadeusz Zabicki. Wydalenie Konarskiego z Francji w końcu maja 1835 roku i wyjazd jego do Anglii wraz z Leonem Zaleskim i Adamem Sperczyńskim przyspieszyły sramę emisarki.

W Londynie zetknął się Konarski z Krępowieckim, Worcellem, Pułaskim, przygotowującymi secesję żołnierskiej sekcji Portsmouth z Towarzystwa Demokratycznego Polskiego dla założenia odrębnej organi-

zacji emigracyjnej o silnym zabarwieniu komunistycznym pod nazwą Lud Polski (Gromady „Grudzią” i „Humań”). Krótki pobyt Konarskiego w Londynie nie pozwolił mu na bliższe rozerzenie się w dążnościach skrajnych demokratów z „Gminy” londyńskiej.

W końcu czerwca 1835 r., po krótkiej naradzie z Lelewelą w Brukseli, stanął Konarski w Krakowie, który był wówczas kierowniczym ośrodkiem konspiracji w kraju. Rola emisariusza w reorganizacji Węglarstwa Polskiego i samodzielnych kół Towarzystwa Przyjaciół Ludu w łączące oba związki nadrzędne, jednolite Stowarzyszenie Ludu Polskiego była niezmiernie doniosła. Konarski postawił właściwie kropkę nad i na tym, co do jego przybycia działała: Zabicki, Goszczyński i Januszewicz. Konarski dopiero wpręgił Zbor Główny Stowarzyszenia Ludu Polskiego w rydwan polityki demokratycznej - republikańskiej, spiskowo-niepodległościowej, narodowej, ojca lewic emigracyjnej — Joachima Lelewela.

Lelewel nie był rzecznikiem programu klasowego. Przez lud rozumiał cały naród: chłopów, mieszczan i szlachtę. Rewolucję społeczną wyobrażał sobie jako bezkrwawą przemianę, równającą w prawach wszystkie stany, znoszącą poddaństwo i pańszczyznę, wprowadzającą powszechne uwłaszczenie chłopów, zupełną swobodę sumienia i równouprawnienie wszystkich wyznań, wreszcie oświatę powszechną, bezpłatną, państwową, narodową. Lelewel chciał widzieć w niepodległej Polsce społeczeństwo bezstanowe. W ówczesnej polskiej rzeczywistości politycznej, a szczególnie społeczno - gospodarczej, był to program bardzo radykalny, rewolucyjny. Doceniając w całej pełni rolę chłopów w przyszłym powstaniu i wysuwając hasła ich usamowolnienia, uwłaszczenia, unarodowienia, Lelewel nie popadał w ludomanię, był tylko rzecznikiem własnej teorii o gminowładztwie. Program ludowy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, a szczególnie Ludu Polskiego, raził Lelewela swą klasowością i ostrością sformułowań. Nawet wypowiedzi redakcji „Północ” uważał Lelewel za „szumne ekspresje”; za zbyt rewolucyjne. Hasło „delenda nobilitas”, głoszone z taką gorliwością przez emigracyjną szlachtę, przesiąkniętą ideami socjalistycznymi, nie znajdowało uznania u Joachima Lelewela, który doceniał znaczenie szlachty dla pracy konspiracyjnej w kraju jako jedynej w tym czasie grupy społecznej, uświadomionej narodowo.

Takie podejście Lelewela do kraju musiało zaznaczyć się przede wszystkim w planie działania, wypracowanym dla Szymona Konarskiego. Przewidywał ten plan cztery podstawowe wytyczne dla emisariusza:

- 1) scalenie wszystkich organizacji spiskowych w kraju pod jednym kierownictwem, ulegającym dyktandom Lelewela;
- 2) zjednanie ludu dla rewolucji przy pomocy szlachty i duchowieństwa;
- 3) przygotowanie zasobów do powstania;
- 4) przebudowa społeczna Polski w państwo bezstanowe, oparte na zasadach demokratycznych i republikańskich.

Dla realizacji tych celów miał emisariusz przygotować ruch narodowy i użyć wszelkich środków moralnych i materialnych, jakie uzna za potrzebne.

Wytyczne Lelewela przyjęło Stowarzyszenie Ludu Polskiego pod marką zaleceń „Młodej Polski” i starało się je urzeczywistnić w swojej działalności konspiracyjnej. Jej dynamika, zwłaszcza do chwili przeniesienia Zboru Głównego z Krakowa do Lwowa, świadczy o tym najbardziej przekonująco. Szymon Konarski wprowadzał w życie punkt po punkcie z instrukcji Lelewela na Rusi i Litwie w latach 1836 — 1838 (do maja).

Zjednoczył wszystkie polskie organizacje spiskowe na ziemiach zabranych pod swoim kierownictwem w Związku Ludu Polskiego; wpręgił prawie 3000 szlachty oraz część duchowieństwa polskiego i ruskiego do pracy nad zjednaniem ludu dla powstania; gromadził zasoby do tego powstania w ludziach i w spręcie wojennym; budził przez szarcio zakrojoną propagandę wśród szlachty potrzebę usamowolnienia, uwłaszczenia i unarodowienia masy chłopskiej na zasadach pełnej demokracji.

Świadczy o tym dobitnie „Program działań narodowych”, rozwinęty przez Konarskiego i mający stanowić część zasadniczą ustawy Związku Ludu Polskiego, przyjętej jesienią 1837 roku na zjeździe spiskowych w Zytomierzu. (Patrz: Wybór z pism).

Program ten uznawał za przedmiot działań narodowych: 1) utrzymanie narodowości przez głoszenie czystych zasad ewangelii, upowszechnianie i udoskonalanie języka polskiego, budzenie wspomnień narodowych, przez polską pieśń, książkę, teatr, taniec i t.d.; 2) budzenie ducha poświeconego dla dobra wolności i ludzkości, „gdź nie męcząństwem, ale odrętwiałością i upadkiem ducha zamierają narody”; 3) krzewienie oświaty, szacunku dla włóścian; 4) poprawę obyczajów przez wpażanie zamiłowania do pracy, poważania dla m. ludzkich, łepienie pijactwa, rozpusty i chciwości, okrutnego obejścia się z chłopami i t.d.; 5) przysposobienie ludu rolniczego do synów ojczyzny i 6) prostowanie fałszywych opinii. Dwa ostatnie punkty wymagają szerszego omówienia, gdyż mieszczą się w nich zasadnicze, najważniejsze wskazania, zawarte w

* Fragment z pracy pt. „Szymon Konarski”, która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka” w Warszawie.

NA KONARSKIEGO*)

„programie działań narodowych” Szymona Konarskiego.

„Sposobić lud rolniczy na przyszłych obrońców ojczyzny i prawych obywateli jest najważniejszym usiłowaniem naszym”, jest rekojmią powodzenia powstania i odzyskania wolności. W kraju rolniczym, jak polski, włóścianin stanowi główną siłę narodu. „Należy się do niego zbliżyć i uznać w nim brata pełnoprawnego, syna przyszłej ojczyzny”. Chłop powinien zrozumieć, że podchodzi się do niego szczerze, z sercem, że szlachta gotowa jest znieść poddaństwo i pańszczyznę, uwłaszczyć wieśniaka, tylko rząd zaborczy stoi temu na zawadzie. W wolnej Polsce chłop będzie pełnoprawnym obywatelem, byt jego ulegnie poprawie przez posiadanie własności gruntowej, przez możliwość wolnego przejęcia do handlu lub przemysłu i przez zmniejszenie podatków publicznych. Frontem do wsi — oto główne zadanie propagandowe wśród szlachty. Niech szlachta folwarczna zatroszczy się o codzienne życie chłopów i jego rodziny, śpieszy w razie potrzeby z chętną pomocą lekarską i materialną, obchodzi się z nim łagodnie, a znikną przestępstwa wsi, zmniejszą się nalożone: pijaństwo, włóczęgostwo, próżniactwo. Należy wsiach założyć zapasowe magazyny żywności, kasy pożyczkowe, rozwinąć przemysł ludowy, udoskonalić kulturę rolną przez co podnieść się dochodowość gospodarki chłopskiej.

Trzeba również powołać specjalne sądy gromadzkie, złożone z samych chłopów, o wysokim poziomie moralnym, aby wyrokowały o przewinieniach swych współbraci. Dziedzic nie powinien dłużej hańbić siebie wymiarem chłopom chłosty i innych kar.

Duchowieństwo należy pociągnąć do pracy nad umoralnieniem ludu wiejskiego.

Art. V programu zalecał również szlachcie, należącej do związku, aby starała się oddziaływać na masy żydowskie w kierunku ich uobywatelnienia i unarodowienia. Wychować synów Izraela w przywiązaniu do Polski, do wolności, polepszyć ich byt materialny przez „udoskonalenie rzemiosł, stworzenie wolnego handlu”, odczyć wreszcie od lichwy i szachrajstwa — oto również ważne zadanie do wykonania na najbliższą przyszłość.

Ostatni punkt programu „działań narodowych” wymierzony jest przeciw obozowi emigracyjnemu i krajowej arystokratycznej reakcji, wierzącej tylko w gabinety i ludzi o historycznych nazwiskach. Propaganda arystokratyczna usiłuje wmówić w szlachtę, że Polska powstanie dzięki pomocy rządów zachodnio-europejskich, a nie wysiłkiem własnym 20 milionowego narodu. Gabinet Polski nie wskrzeszą, bo są narzędziem królów, a królowie mają sprzeczne interesy z narodami. Naród polski jest sprzymierzony z innymi narodami wspólną walką z despotyzmem. Działania rewolucyjne innych narodów „są częścią sprawy naszej... gdzie walka za wolność, tam walka za nas”.

Nie wskrzeszą Polski ludzie o historycznych nazwiskach. „Albowiem oddzielną w narodzie stanowią kastę, będąc małą jego częścią, w innej żyjąc sferze, nie mogą znać ani potrzeb, ani ducha, ani środków jego”. Chłopów, tę najliczniejszą klasę narodu polskiego, należy zrównać ze szlachtą w prawach politycznych i w prawach do równego „używania darów Boga”. Przesąd dzielenia ludzi według urodzenia jest niegodny i ubliżający naturze, godzi on również w zwartość narodu. „Nie masz ani pierwszej, ani ostatniej klasy, nie masz różnicy stanu w obliczu Boga, rozumu, ojczyzny i śmierci”. Te zasady, przestrzegane i urzeczywistniane przez szlachtę, wesprą sprawę wskrzeszenia Polski i sprowadzą rewolucję na właściwą drogę rozwoju.

Konarski zdawał sobie dobrze sprawę z trudności, jakie miał do przezwyciężenia taki program działań narodowych na Rusi i Litwie, „gdzie lud dźwigał najcięższe brzemie niewoli i gdzie panowie od feudalizmu nie odłączyli swoich patriotycznych uniesień” — jak to słusznie podkreślił Lucjan Siemieński w „Noworoczniku Demokratycznym” z r. 1842, w artykule poświęconym pamięci emisariusza. Konarski dał temu wyraz niejednokrotnie w przemówieniach do związkowych, szczególnie do rwącej się do nieprzemysłanych działań młodzieży.

„Nie ludźcie się tym pięknym obrazem (przyszłości), nie doczekamy go nawet oglądając, do tego trzeba olbrzymiej pracy i wytrwałości. Stawiamy na jedną stawkę los nasz i życie, możemy przegrać od razu wszystko, przygotowaliśmy się musimy na wiele i bardzo wiele cierpień, jednak nieostrożność drobna może uczynić, że całe życie nasze będzie beznadziejnym konaniem na Syberii” — oto fragment takiego przemówienia, zanotowany przez Eustachego Iwanowskiego we „Wspomnieniach lat minionych” (str. 199).

Słowa te się sprawdziły. Pokolenie Konarskiego nie doczekało niepodległości, drobna nieostrożność położyła kres działalności Związku Ludu Polskiego. Sybir przyjął nowych katorżników.

Czy warta była tych ofiar Konarszczyzna? Konarszczyzna była demokratycznym, republikańskim ruchem szlacheckim na Rusi i Litwie. Ruchem ludowym stać się nie mogła, bo trwała zbyt krótko, bo została złamana przez carat w pierwszej fazie swego rozwoju, w fazie apostołstwa Konarskiego wśród szlachty, której zamierzał następnie użyć do wielkiej

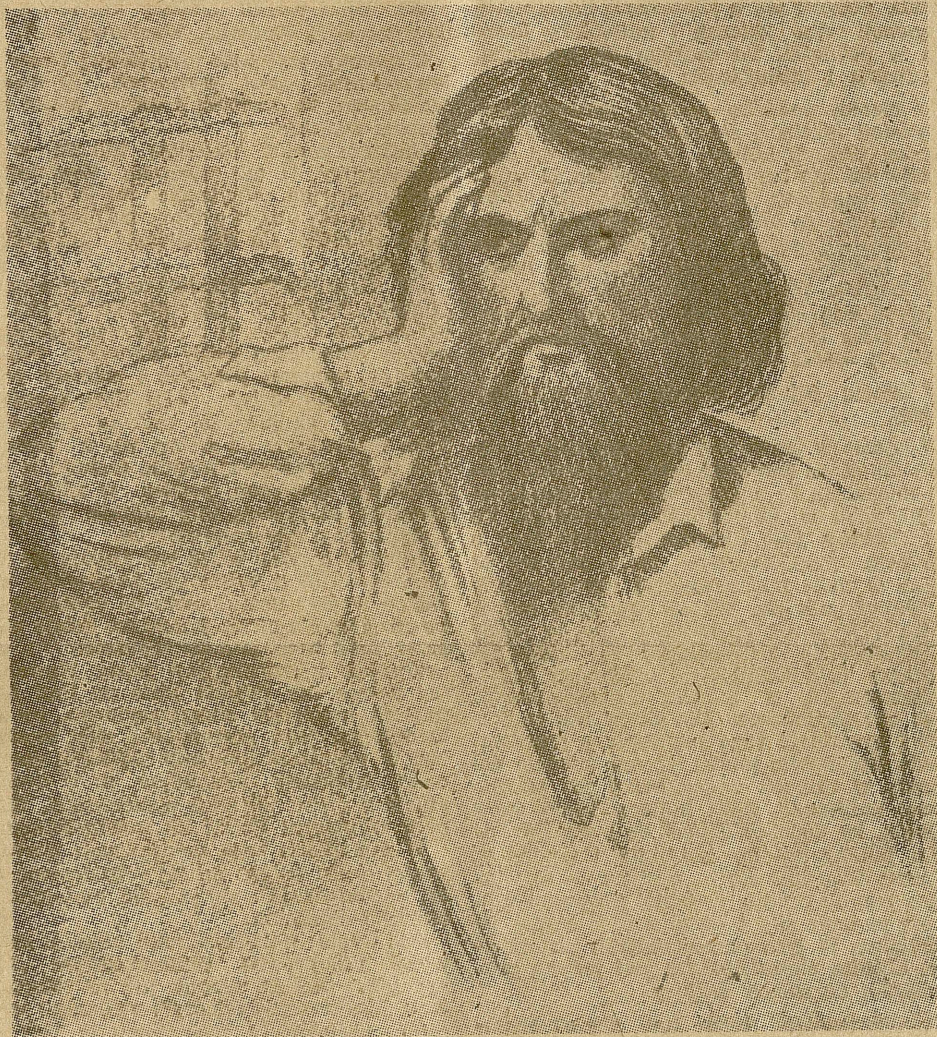
misji oświatowo-wychowawczej wśród ludu wiejskiego.

„Przyszedłem tu (na Ruś i Litwę) — zeznał Konarski przed komisją śledczą 22 sierpnia 1838 roku — w celu rzucenia myśli, która rozwinięta w kraju, mogłaby kiedyś zmienić podstawę związku społecznego. Za Polskę za królem, chociażby Polakiem, za Polskę, napelnioną przywilejami, nie poświęcę jednej kropli krwi”. Konarski był wspaniałym agitator — spiskowcem. Rozbudzał uczucia sprawiedliwości społecznej i chęć do walki ze stanowym i mikołajewskim despotyzmem. Usiłował stworzyć nowe, rewolucyjne siły w rozkładającej się moralnie szlachetczyźnie, by je z kolei przelać na lud i porwać go do walki o wolność. Wszystko, co było zdrowsze narodo-wo, ofiarne wśród szlachty na Litwie i Rusi, drgnęło uczuciem ludowym, szczególnie młodzież obojga pici (Limanowski), ta młodzież kresowa, której życie do przybycia Konarskiego wypełniało bałagunstwo, huczne zabawy, rozpusta, paplanie po francusku. Konarski uczył ją „abecadła świata nowego”, konspiracyjnego działania, kultu dla sukmany chłopskiej, wykazywał jej „nicotę i niedolę teraźniejszego życia” w zestawieniu ze „szczęściem nowej ludzkości”. Wiązał tę młodzież

wileńskie i kijowskie. Konspiratorzy szlacheccy potracili głowy, brano ich jak baranów z dworków, kuto w łańcuchy i sadzono do kibitek. Związek Ludu Polskiego nie wytrzymał ze swego grona następcy Konarskiego, rozpadł się, zamarł w bezwładzie, znikł... Młódz szlachecka, meżna w salonach, na polowaniach, nawet w pojedynkach, nie poszła do partyzantki, którą „apostołował” Konarski wraz z kultem dla chłopskiej sukmany. (Por. list z dn. 23.IX.1836).

Szlachetczyzna na Rusi i Litwie nie była zdolna „działać własną chęcią”. Konarski się mylił, mylił się również Joachim Lelewel: szlachta w swej masie, poza nielicznymi wyjątkami, nie miała dynamiki rewolucyjnej, bo jej mięt nie mogła, raz z tego powodu, że rewolucja, łącząca walkę o wolność z przebudową społeczną nie leżała w jej bezpośrednim interesie; po drugie dlatego, że proces rozkładu moralnego społeczeństwa szlacheckiego posunął się tak daleko, iż nawet przeszło dwuletnia działalność wychowawcza i konspiracyjna Związku Ludu Polskiego nie zdołała go zahamować.

Konarski nie zdążył wejść w lud, nie zaczął drugiej, najważniejszej fazy swej działalności konspiracyjnej — nie przysposobił „ludu rol-



Szymon Konarski w więzieniu

przez lekturę pism lewicowego odłamu emigracji z obozu rewolucji europejskiej.

Niezgłodzony wysiłkiem, był Konarski w ciągłym ruchu, w ustawicznym działaniu. Z czynu wyszedł, nie z księgarni! „Czemu ja się rozredzę nie mogę, czemu być u was nie mam czasu — pisał do Lelewela po niespełna rocznym pobycie na Rusi i Litwie — czemu Was uściśnieniem nowego świata jaki się tu budzi, powitać nie mogę?”

Czy się ten nowy świat naprawdę budził na kresach dawnej Rzeczypospolitej, „gdzie panowie od feudalizmu nie odłączyli swoich patriotycznych uniesień”? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Konarski twierdził, że tak i dostarczał Lelewelowi przekonywujących argumentów. Oto one: rozrost konspiracji wśród szlachty, zmiana na lepsze w ustosunkowaniu się dziedziców do służby i chłopów pańszczyźnianych, udział kobiet w pracy oświatowej wśród ludu, nawiązanie łączności z rewolucjonistami w wojsku carskim.

W styczniu 1838 r. powiadał Konarski Lelewela o zakończeniu pierwszej fazy działań. Odtąd konspiracja miała rozwijać się własnym, krajowym zasobem sił rewolucyjnych, „rozlać wiarę i uczucie i oświatę ogólniej”, słowem przejść na masy chłopskie.

(Porównaj listy Konarskiego z lat 1836—1838 do Lelewela w wyborze z pism).

Związek Ludu Polskiego był w tym okresie u szczytu swego rozwoju: miał wyszkolone naczelnictwo, sprawną na ogół siatkę konspiracyjną, ogarniającą Ruś i Litwę, a nawet Dorpat i Odessę, posiadał kasę narodową, brak mu było tylko drukarni. Powinien więc dalej rozwijać się własnym dynamizmem, „działać własną chęcią” — jak nadmieniał Konarski.

I cóż się stało? Uderzył grom: policja carska przychwyciła Konarskiego i Rodziewiczę w maju 1838 r. Zabrakło wodza, załamał się w śledztwie Rodziewicz, posypały się aresztowania, setki spiskowców napelnili więzienia

ry zdarzeń, kiedy burza grzmi nad Rusią”. (Handelsman: op. c. 29—31).

Pomruków tej burzy nasłuchiwał wybladły carat, jej zwiastunem był bohaterki kapitan z korpusu Gejzmar Agłaj Kuźmin-Korowajew, niedoszły wybacza Szymona Konarskiego. Słyszał pomruki tej burzy również Joachim Lelewel, przejęty wielką ideą braterstwa narodów słowiańskich w walce z tyranją caratu, kiedy na uroczystej akademii żałobnej ku czci Konarskiego przemawiał we wrześniu 1839 roku w Brukseli do licznie zgromadzonych rodaków i Belgów tymi słowami:

„O Konarski!.. zapowiadałeś wolność i równość i oburzyłeś na siebie arystokratów i tyranów. Uczyleś szanować człowieka i miłować ludzkość. Opowiadałeś braterstwo między ludźmi bez różnicy stanu, wyznania i narodowości. Powoływałeś czcicieli Jehowy, czy to wyznawców Mojżesza, czy Chrystusa, czy Mahometta, do tego samego dzieła. Słyszeli z ust twych chrześcijanie obrzędu greckiego i łacińskiego, że nie innego tylko namiętności... zaszczyliły wzajemny wstręt między nimi, że powinni w jednoję ducha zaność modły do Przedwiecznego, pracować wspólnymi siłami nad oswojeniem się z jarmem niewoli: dowiadawali się od ciebie, że geniusz Słowian polega na braterstwie, że Rosjanie równie jak Polacy i wszystkie narody słowiańskie mają męczeństwo swej sprawy, powinny podać sobie ręce i działać jak jeden człowiek. Jeżeli kiedyś sprawa Słowian odniesie zwycięstwo, imię Konarskiego wielbione będzie na całej przestrzeni ich krajów, jak dziś teraz w naszym gronie”.

(J. Lelewel: Mowy i pisma polityczne. Polska, dzieje i rzeczy Jej, wyd. Zupański, Poznań 1846, t. XX, str. 282—284).

Zbliżały się wielkie wypadki nie tylko w „rodzie słowiańskim”. Europa miała drgnąć spazmem rewolucji. Ludy czekały na hasło do wywracania tronów. Zbliżała się wiosna 1848 r. W przededniu wielkich wydarzeń odbyła się w Brukseli 14 lutego 1848 roku żałobna uroczystość na cześć męczenników rosyjskich — dekabrystów i Szymona Konarskiego. Uczestniczyli w niej licznie zgromadzeni Polacy, Belgowie, przedstawiciele Międzynarodowego Towarzystwa Demokratycznego, tajnego Związku Komunistów oraz wielu rewolucjonistów różnych narodowości. Rosjan reprezentował wydalony z Francji rewolucjonista Bakunin. Lelewel złożył hołd bohaterstwu dekabrystów i zwrócił się następnie z płomiennym apelem do ludów słowiańskich, by solidarnie podjęły walkę z despotyzmem tronów: „Rosjanie, Polacy, Czesi, Serbowie, Słowacy, Kroaty, Bośniacy, Dalmaci, Raskowie, Bułgarzy, Ilirycyżyczkowie powinni się uważać za braci, za jedną wielką rodzinę. Między nimi nie powinno być żadnego pierwszeństwa, żadnego przodowania: wszyscy są powołani do działań dobrowolnie i jednogodnie dla wspólnej sprawy, każdy z tych narodów powinien pojąć, że braterstwo jest zasadą najściślejszego przymierza. Czy to je nazwiemy federacją, czy unią, czy konfederacją, czy stanami zjednoczonymi, na takiej zasadzie prędko stanie umowa towarzyska...”

„Lud na wszystkich punktach Słowiańszczyzny jest tą siłą żywotną, która może znieść wszelkiego nieprzyjaciela, lud wszechwładny, oparty na swojej demokratycznej zasadzie... Szczerze braterstwo, najsilniejsza podpora demokracji, ocali Słowian od wszelkiego zewnętrznego niebezpieczeństwa...”

Po tym generalnym apelu zwrócił się Lelewel do Bakunina, którego od r. 1844 pasował na następcę dekabrystów z następującym wezwaniem: „Przyjacielu Bakunin! Oświadczyleś szlachetne uczucie swych żołnierzy. Obok grobu tych, którzy jakiegoś powiedziały pierwsi przebyli przepaść, jaka zdawała się oddzielać oba narody, tych, którym słusznie chlubić się możecie, waszych bohaterów, męczenników waszej wolności, obok ich grobu przyjmujemy z całym sercem oświadczenie waszego braterstwa, które z każdym dniem coraz bardziej wzmacniać się będzie. Chwała waszym męczennikom, dla których mamy największe uwielbienie. Oni to położyli zasady naszej zgody, naszego przymierza, podług których w spójnej sprawie dzielić będziemy... Obalmy naprzód tyrańca, który nas uciemięcza, tyrańca, która nas upadała, podnieśmy kwestię ludu, obudźmy jego ducha demokratycznego, a wszystko się ułoży i pogodzi ze wspólną wolą wszechwładztwa obu narodów...”

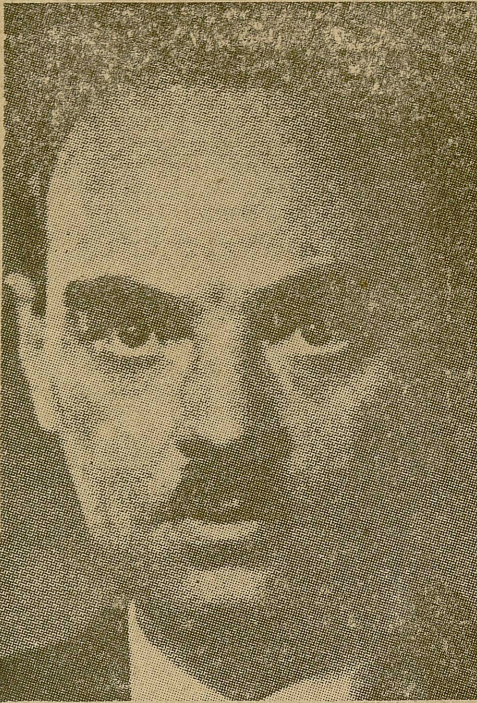
Belgowie i wy przyjaciele wszystkich narodów. Ożywił uczuciem braterstwa wiecie, że bracia powinni się kochać. Bądźcie przekonani, że ta miłość utwierdzi odcieczne przymierze Rosjan z Polakami. Obecnie na tym żalobnym obchodzie, byliśmy świadkami wylewu naszych uczuć braterskich. Powiedźcie wszystkim, coście widzieli i słyszeli”. (Lelewel: op. c. str. 536—548).

Sojusz polskich żywiłków rewolucyjnych z rosyjskimi w walce z caratem i despotyzmem został zawarty. Przedstawiciele obu narodów: J. Lelewel i M. Bakunin dokumentowały go na forum międzynarodowym. Unosiły się nad nim cienie Pestela, Bestuzewa, Rylejewa, Murawjewa-Apostoła, Kachowskiego i Szymona Konarskiego. Na sztandarze wspólnej walki o wolność i niepodległość zawisły krwią bratnią wypisane słowa: „Lud na wszystkich punktach Słowiańszczyzny jest tą siłą żywotną, która może znieść wszelkiego nieprzyjaciela, lud wszechwładny, oparty na swojej demokratycznej zasadzie...”

Jest dziejową zasługą Konarskiego, iż przez swoją działalność i śmierć męczeńską przyczynił się w części do tego, że demokracja ludowa stała się dziś koniecznością w Polsce i fundamentem braterskiej współpracy narodów słowiańskich.

Zdzisław Skwarczyński

Kościół wojujący



Antoni Gołubiew

Powieść historyczna w Polsce ma bogatsze niż gdziekolwiek indziej tradycje, ale są to tradycje specyficzne. Najważniejszym bodaj rysem tej tradycji jest partykularyzm. Nie jest to jednak partykularyzm tematyki, choć i w tej dziedzinie nie zbyt wiele zrobiono, by można było wynieść nasz dorobek na rynki międzynarodowe. Raczej należało by go nazwać partykularyzmem tendencji, partykularyzmem funkcji społecznej jaką przeznacza do wypełnienia swemu utworowi autor.

Wprawdzie udało się ongiś Sienkiewiczowi, że powieść jego (*Quo Vadis*) stała się własnością międzynarodową i to tak dalece, że w licznych jej obcych adaptacjach dla młodzieży zapomniano o prawach autora, ale gros jego produkcji historyczno-powieściowej musi pozostać nieznaną czytelnikowi zagranicznemu.

Istotą bowiem tej produkcji była swoista historiozofia na użytek pokolenia współczesnego; „służba narodowi”, „krzepienie serc” nie zaś pasja odkrywcy. Pod tym względem *Trylogia* może być uważana za najbardziej zmienną dla naszej powieści historycznej utwór, choć mamy także *Faraona*, *Zywe kamienie* i *Krzyżowców*.

Lata powojenne przyniosły nam również kilka powieści historycznych, z których najbardziej wydaje się powieść Gołubiewa. Ten szybki start wydawniczy powieści historycznej, tuż po kataklizmie wojennym, po okresie w którym był narodem zagrożony był bardziej niż kiedykolwiek, upoważnia do postawienia pytania, czy analogiczne warunki historyczne dały podobne efekty.

Rozważmy tę sprawę na wspomnianej powieści Gołubiewa.

Wybór Gołubiewa padł na epokę pierwszych Piastów, a właściwie pierwszego koronowanego z nich. Czy to sięgniecie do samych korzeni narodowego i państwowego bytu ma jakies znaczenie?

Dwa są bieguny, między którymi oscyluje sprawa narodu i państwa polskiego w ujęciu Gołubiewa. Czytelnikowi wskazują je najogólniej tytuły poszczególnych tomów rozpoczętego cyklu (tytuł ogólny jest nazwą epoki), a więc: *Puszcza* i *Szło nowe*.

Elementem rzeczywistości zastanej w powieści jest puszcza zarastająca kraj, pierwotność form bytowania ludzkiego, wegetatywność życia zbiorowego i wybuchająca ponad nie żywiołowość popędów indywidualnych. To jest zarys na naród i państwo. Formować je zaczął Mieszko rwąc więzi rodowe, tworząc nadrzędny organ władzy: drużynę książęcą. Choć jednak wiele osiągnął w tej dziedzinie, choć ukoronował na zewnątrz swe poczyny przyjęciem chrześcijaństwa — proces był zbyt powierzchowny, by mógł przetrwać swego twórcę. Bolesław musi dokonać tego po raz wtóry. Tu zaczyna się w powieści to, co jest jej wątkiem dziejowym. Na wszystkich szczeblach życia społecznego przyspiesza ten proces walka — walka o byt, o znaczenie społeczne, o dziedzictwo i władzę książęcą, o trwałość wznoszonej budowy. Uczestniczą w niej wszystkie siły rodzime: pierwotność i obca kultura, naturalna forma współżycia ludzi i organizacja powstała w ogniu nowych potrzeb. Na skrzyżowaniu tych linii stawia autor swych bohaterów, a właściwie masę ludzką. Prowadzą bowiem akcję w swej powieści wieloma nurtami, próbuje dać on coś w rodzaju przekroju socjologicznego państwa i narodu od pospolitego mieszkańca puszczy poczynając a kończąc na księciu; przekroju instytucji społecznych aktualnie istniejących oraz mechanizmu ich działania i przekształcania się.

Od obrazów demonstrujących rozkład anachronicznego ustroju rodowego przyspieszonego najazdem przechodzimy do ogląda-

*) Anton Gołubiew — „Bolesław Chrobry”. Powieść t. I. „Puszcza” t. II. „Szło nowe”. Warszawa, 1947 r. „Czytelnik”.

nia zaczątków nowej organizacji narzuconej społeczeństwu przez władzę: drużyny i dworu. Do rozgrywki między wszystkimi siłami rozkładającymi twór Mieszka, siłami odśrodkowymi a wolą kontynuatora jego myśli państwowej dochodzi już w momencie zgonu starego władcy. Jest to jeden z punktów kulminacyjnych cyklu Gołubiewa.

Dawna swoboda wynikająca z pierwotności, wegetatywności życia, ustępuje zacieśnieniu się zależności międzyludzkich, powoduje nieustanny ruch w masie społecznej oraz otwiera szlaki, ścieżki i przełazy awansu społecznego dla tych, co umieją wziąć w swe ręce nowe funkcje, dla przydatnych — kimkolwiek byliby przedtem.

Brzmi to wszystko prawie banalnie. Wystarczyłoby jednak skierować całą pomysłowość autorską na przedstawienie i opisanie tych zjawisk jak zresztą i późniejszych wysiłków Bolesława i jego otoczenia, by zorganizowane państwo włączyło w krąg kultury chrześcijańskiej i tą drogą wyemancypować się z pod wpływów niemieckich — żeby dać rzetelną i wnoszącą coś do wiedzy historycznej przeciętnego czytelnika — powieść historyczną.

Gołubiewowi wydało się to jednak zbyt łatwe, proste i naturalne, a może raczej nie dawało pola do rozwinięcia swojej historiozofii. Pokusił się o stworzenie dodatkowej motywacji dla zjawisk i postępów ludzkich w powieści. Tu zaczyna się mitologia, metafizyka i historiozofia.

Za cienką powłoką realnej, sprawdzalnej motywacji faktów i zjawisk kłębią się opary swoistej filozofii kultury. Pocnijmy od elementów tzn. od tego co autor uważa za istotne siły napędowe dzieł. Autorowi wydaje się nawet, że w tym tkwi sekret jego humanistycznej postawy, że z równą bezstronnością traktuje biologiczną przemość dębu, chuć Bugaja, przeżycia mistyczne Wojciecha, „odegrywania się” starego Wojbora, krzywdę socjalną Bzioba, prywatną zachłanność Zefrida i tępotę Ungera.

W istocie jednak układa się to odrobnie inaczej.

W istocie w prywatnej mitologii autora odzywa się stara chrześcijańska antynomia ciała i ducha. Ją to właśnie wyklada Gołubiew czytelnikowi w fabularnych wariantach. To jest zarazem jego historiozofia. Świadczy o tym jego przedstawienie stanu kultury w Polsce w fazie poprzedzającej ugruntowanie się chrześcijaństwa. Wbrew wynikom badań naukowych — na co zwrócił uwagę jeden z poprzednich recenzentów — człowiek ówczesny w/g Gołubiewa, wychodził ledwo z pierwotności, a kulturę reprezentowało tylko chrześcijaństwo. Nie zdziwi nas tu jurność i żywotność tego człowieka z przedstawienia Gołubiewa, mieści się ona bowiem doskonale w ramach wspomnianej już podstawowej antynomii. Jeśli kultura ściera się z biologią, by walcząc ułożyć się i współżyć w czym jakoby źródło konfliktu i trudności, moment zmagania się i... postępu — to wiadomo jaki to postępek, w jakiej proporcji ułożą się te dwie siły i która z nich stanie się nadrzędna. W tym przedstawieniu historycznym kultura chrześcijańska jest jedyną pretendentką do miana kultury.

Potwierdzeniem tego jest akcent szczególnie położony na momenty przeżyć religijnych tych, którzy kulturę chrześcijańską reprezentują. To nie tylko sprawiedliwość artystyczna i wierność wobec źródła kazała autorowi szukać wewnętrznego tłumaczenia dla ich czynów. Są oni nosicielami i propagatorami pewnych treści społecznych, na których rozumie się dobrze Bolesław kiedy misji św. Wojciecha nadaje wagę państwową. Nie jest także rzeczą przypadku, że autor wprowadza specyficzne rozróżnienie w kulturze Zachodu, gdy reprezentację prawdziwego jej nurtu powierza Wojciechowi i Ottonowi III, idealistom. Dzięki tym siłom ugruntowany zostaje byt państwa Bolesława, jakby w myśl cytowanej na naszych łamach tezy Jerzego Brauna, że: „Przyszłość i byt samodzielnego Polski da się pomyśleć tylko w łączności z Kościołem i w nieustannym pełnieniu apostołstwa chrześcijańskiego”. To już jest historiozofia na dzisiaj.

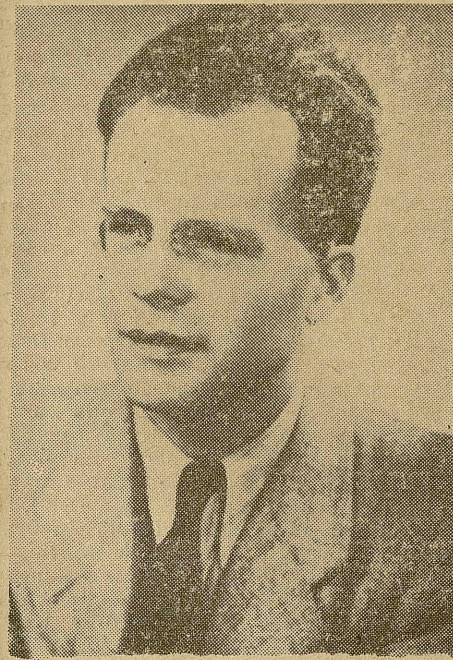
Dyskryminacja kultury przedchrześcijańskiej Polski ułatwiła autorowi zadanie ideowe, ale umieściła je w specyficznej próżni mimo obfitości realiów. Czymże bowiem wytłumaczyć nagły i gwałtowny wybuch reakcji pogańskiej r. 1037 oraz niepowodzenia jej zarazem w pewnych dziedzinach? Dlaczego zatarła się w powieści nadrzędna wobec ustroju rodowego organizacja plemienna dająca początek potężnym ruchom odśrodkowym?

Inną sprawą z zakresu mitologii autora „Bolesława Chrobrego” jest przesadny personalizm i wynikające stąd psychologizowanie. Ostatnimi tedy instancjami rozstrzygającymi o postępowaniu bohaterów są ich przeżycia i to wcale nie mieszczące się w tych prymitywów w kategoriach zdziwienia, przerażenia, odpychania i przyciągania, jakie mogły w nich powstawać w zetknięciu z „nowym”.

Scharakteryzowanym wyżej „treściom ideowym” utworu Gołubiewa odpowiada jego faktura, przypominająca miejscami powieść kolonialną, miejscami „somatyzm” i „demonizm naturalistyczny”. Kadną lub płytki reportaż.

Leonard Sobierajski

Drobny realizm



Władysław Dunarowski

Wł. Dunarowski: „Leżąc krzyżem”. Wydawnictwo E. Kuthana, Warszawa 1947.

Sumienny czytelnik powojennej prozy beletrystycznej musi stwierdzić, że niemały jej procent to powieści i zbiory nowel o tematyce wiejskiej.

Niektóre z nich układają mu się w wyraźne grupy. I tak nazwiska Kowalskiego, Gałaja, Pogana obwiedzie on jedną linią, nie licząc się nawet z tym, że pierwsze wydanie powieści „W Grzmiejęcej” przypada na rok 1936.

„W Grzmiejęcej” Władysława Kowalskiego, „Ugory” Pogana i „Mystkowie wioska mała” Juliana Gałaja, to z pewnego punktu widzenia jednorodne fakty literackie, wiąże je podobna postawa pisarska i zbliżone pojmowanie funkcji dzieła. Wszystkie wymienione utwory są swojego rodzaju rozrachunkiem dokonanym od strony wsi z rzeczywistością lat międzywojennych, cechuje je ostra tendencja społeczna, postaci w nich przedstawione odkrywają losy ludzkie w ich socjologicznym zdeterminowaniu.

Autorzy kreśląc wizję wsi starają się przede wszystkim o pokazanie środowiska wiejskiego w jego uzależnieniu od ogólnych społeczno-gospodarczych procesów, dzieje wsi są przez nich w te procesy wpisane.

Wysiłek konstrukcyjny prozy Kowalskiego, Gałaja czy Pogana idzie po linii takiej selekcji materiału obserwacyjnego, by przy właściwym jego zestawieniu móc przedstawić w wymiarze gromady wiejskiej sprzeczności społeczne naniesione tu w drobnym rzucie z planu wielkich sprzeczności, tkwiących w ustroju Polski lat międzywojennych.

W kontekście tego zasadniczego nurtu powieści o wsi należy dzisiaj rozpatrywać i inne, nowoukazuujące się pozycje, malujące środowisko chłopskie.

Pod koniec ubiegłego roku ukazała się powieść Władysława Dunarowskiego „Leżąc krzyżem”. Autora znamy już ze zbioru nowel: „Ludzie spod miedzy”, wydanego w 1939 roku; wznowienie tego tomu w 1947 roku „Wies” odnotowała recenzja Piotra Ziarnika w numerze 11 (90). Ziarnik tak charakteryzuje nowelę Dunarowskiego: „W całości obraz jest drobiazgowo dokładny, do złudzenia przypominający rzeczywistość i w wydźwięku ostatecznym głęboko tragiczny, choć bohaterowie nowel na ogół tego tragizmu nie uświadamiają sobie. Zabiegani za sprawami dnia, za drobnymi kłopotami i radościami mizernymi bardzo, wpleceni w beznadziejne koło życia warunkami ekonomicznymi, które tak dobrze znamy sprzed wojny, nie widzą przyczyn swej nędzy, poniżenia i niesprawiedliwości losu. Przeżywiają życie bez planu i perspektywy — za swą krzywdę nie wiedzą kogo winić, często nawet nie widzą potrzeby winienia. Poczucie społecznej niesprawiedliwości właściwe jest dopiero jednostkom uczącym się, inteligentom chłopskim”.

Czy Dunarowski poszedł w swojej powieści dalej, czy nakreślił w swoim obrazie wsi jakieś głębsze perspektywy, czy raczej zadowolił się kreśleniem „pierwszego planu”, odrzucając rzeczywistość tak jak ona się potocznie doznani narzuca?

Autor przedstawia nam wioskę podgórska, zaludnioną ją nadal „ludźmi spod miedzy”, czas zachodzących w powieści zdarzeń to kilka miesięcy tuż przed wybuchem wojny oraz pierwsze lata okupacji. Zdawałoby się, że jest to dobry moment do zrobienia jakby reżanentu, do zebrania w garść tych wszystkich składników, które w sumie określały sytuację wsi sprzed września 1939 roku. Jeśli wolno powieściowej wsi wyznaczyć miejsce na mapie, to musi ona gdzieś leżeć w południowych okolicach województwa rzeszowskiego a przecież wiemy, że teren województwa rzeszowskiego był jednym z najbardziej w Polsce politycznie rozbudzonych; wieś w której żyje rodzina Pyrów, Kepów, Kesików, nie jest znów tak bardzo oddalona od Albigowej, Handzlówki czy Husowa, musiały chyba jakoś do niej dochodzić wpływy Gaci czy słuchy o Markowej. A tymczasem...

Autor bardzo zacieśnia swoje pole widze-

*) Piotr Ziarnik: „Nowele o ludziach autentycznej wsi” „Wies” Nr 11 (90).

nia, koncentruje on uwagę na tym, co dzieje się w chałupie wiejskiej od strony jej codzienności, ogranicza się do pokazania bytu chłopskiego w strukturze rodziny i więzi sąsiedzkiej. Mimo ciągłego odwoływania się do kalendarza czas Dunarowskiemu ucieki, ponieważ nie wprowadził on w przebiegi myślowe swoich postaci chłopskiej określonego momentu historycznego. W powieści „Leżąc krzyżem” życie rodziny chłopskiej wypełnione jest takimi samymi treściami w 1939 roku jakie można by jej było przypisać i pięćdziesiąt lat temu wstecz; dzieje się tak, gdy spoglądamy na nie od strony jego codziennych gestów: obrządków kuchennych, rytualnych zabiegów gospodarskich i drobnych konfliktów wewnątrz-rodziny i sąsiedzkich.

A na takim materiale autor zbudował swą powieść. Uwikłał się przy tym w autentyzm — nęci go „śpiew maleńkich rzeczy”, pozostających w polu jego pisarskiego widzenia. Z tych względów stawiane przez autora problemy zacierają się w elementach opisowych, które z funkcji elementów tła, na którym rysowałby się problem, wyrastają w autonomiczne partie. Autor posługuje się tu techniką opisu, dzięki której otrzymuje „obraz do złudzenia przypominający rzeczywistość”. Nie jest to jednak rzeczywistość klasy chłopskiej z jej polityczną i społeczną lokatą w ustroju przedwrzesniowym. Elementy opisu zgodne z „autentycznym” wzorcowym przedmiotem nie współgrają z postawionym problemem. Tak ma się sprawa z jednym z głównych, jak nam się zdaje, wątków powieści, mianowicie z wątkiem starych, niedołężnych ludzi, którzy wypadają poza burzę rodziny chłopskiej z chwilą, gdy przestają być czynni w pracy, podtrzymującej egzystencję tej rodziny.

Ostatnie chwile Witka Racicy — starego służącego i wyrzucenie go z chałupy Pyrów mogłoby nabrać właściwego akcentu społecznego, gdyby było podmalowane tak dobranym elementem opisowym, który by przekonywał czytelnika, że było to ciężką koniecznością, że sytuacja ekonomiczna dziesięcio-osobowej rodziny chłopskiej na sześciu morgach w okresie przedwojnia była tak trudna, że zmusiła tę rodzinę do czynu okrutnego — usunięcia z domu niedołężnego starca, dla którego nie ma w przepięknej izbie ni miejsca ni chleba.

Zwróćmy uwagę na ten moment, gdyż dość dobrze ilustruje on sposób patrzenia na sprawę wsi autora. Nie wykreśla on ich społecznego aspektu, nie sugeruje właściwie propozycji zmian, ogranicza się do konstatacji pewnych bolączek wsi w ramach rodziny chłopskiej i kręgu sąsiedzkiego. Dunarowski w tych tylko strukturach umieszcza swoje postacie; potrafi on świetnie odwzorować postać stetrycznego dziadka Michała na tle liczonej rodziny Pyrów, czy podpatrzeć zachowanie się i reakcje dzieci w rodzinie chłopskiej czy pokazać starego człowieka — babkę Jędrzejową, która resztkami sił chwytła się życia, by nie stracić pozycji czynnego jeszcze członka grupy pracującej a tym samym i miejsca w chałupie. — Nie ma tu natomiast u niego jeszcze, jak w ostatnio publikowanych na łamach „Wsi” utworach tego autora, obrazu gromady wiejskiej w tym źródniczkowaniu, jakie daje nam Gałaj czy Pogan, wieś u niego nie wciągnięta jest w procesy społeczne, bohaterzy żyją drobnymi jednostkowymi konfliktami. Dunarowski w kilku wstępnach komentarzów wyraża ubolewanie, że wieś żyje w cywilizacyjnym zapóźnieniu — jego wizja wsi jest w części konstruowana na pokazanie tego zapóźnienia — absolutnie jednak nie odkrywa on tych uzależnień ustrojowych, które wsi nie pozwalają wnieść się na wyższy stopień cywilizacyjny.

Te cele osiąga dopiero najnowsza proza Dunarowskiego, wróżąca intelektualny i artystyczny rozwój tego pisarza; wynika on z postępującego u Dunarowskiego przełamywania teorii kultury idealistycznej. Nabył on ją w latach przedwojennych w kręgu „Młodej Myśli Ludowej”, gdzie kulturę chłopską i narodową rozumiano statycznie w kategoriach pozahistorycznych.

W OSTATNIM 4 (133) NUMERZE „WSI” z dnia 25 stycznia 1948 r.

Jan Aleksander Król — Czy Doktor Judym?; Zdzisław Skwarczyński — Pisarze poza kręgiem czytelników; Wincenty Stys — Przełom w rolnictwie; Jerzy Falenciak — W przededniu powstania styczniowego: Hreczkosiej — Zbliżenie do ludu; Tadeusz Orlewicz — Głód na kuli ziemskiej; Adam Kotula — Alina Nofel — Listy: Paryż—Łódź; Władysław Sirzelecki — Łódź; Fakty i zdania: Abel Truły — Troska i interes; Tomasz Sprinker Trzy razy tak; K. M. — Organizowanie pokoju jest tańsze niż organizowanie wojny; Z. Sz. Jezuicka filozofia i ideały; Alina Osia-daczówna — „Kłopoty z personalizmem”; Komunikaty, 6 ilustracji — 8 stron.

Od Administracji

Prosimy o wpłacanie prenumeraty na rok 1948

ZAGRANICA LITERACKA

Francja

Krytyka egzystencjalizmu

Największą rewelację filozoficzną okresu powojennego jest niewątpliwie egzystencjalizm. Prąd ten — nie to miejsce, aby osądzać czy był to przypadek, czy celowe rozdmuchanie sprawy, czy też egzystencjalizm rzeczywiście na to zasługiwał — stał się przedmiotem olbrzymiego zainteresowania intelektualistów całego świata, doprowadził do niesłychanie ostrej i długotrwałej polemiki w zasięgu międzynarodowym. Można już dzisiaj stwierdzić, że polemika ta nie zawsze potoczyła się właściwymi torami. Szczególnie krytyce egzystencjalizmu w Polsce i Zw. Radzieckim można by zarzucić pewną jednostronność i połowiczność. Ukazano — niewątpliwie bardzo trafnie i słusznie — egzystencjalizm w kontekście wydarzeń politycznych i procesów społecznych, wspaniale zinterpretowano wydźwięk społeczny, jego pozornie neutralnych akcesoriów jak np. rozpacz, pesymizm, wątpliwość, strach, niebyt itd., zbadano jakim elementem społecznym są twórcy i odbiorcy tej ideologii, komu zależy na jej rozpowszechnianiu, komu jest ona potrzebna i dlaczego. W wyniku tej analizy krytyka zarówno polska, jak i radziecka egzystencjalizm zlekceważyła i ośmieszyła. Niestuszenie.

Analiza socjologiczna egzystencjalizmu została przeprowadzona zgodnie z pewną przyjętą i ustaloną hierarchią wartości. Ocena wypracowana z założeń tej hierarchii wartości egzystencjalizm potępiała. Niestety, taka metoda miała jedną złą stronę: mogła przekonać tylko tych, którzy aprobowali tę samą hierarchię wartości. Nie stworzyła i nie mogła stworzyć żadnego punktu zaczepienia do dyskusji merytorycznej, której nie przeprowadzono. Co więcej: prawie nigdy nie spotykało się nawet obiektywnego zrelacjonowania oficjalnych wypowiedzi twórców egzystencjalizmu. Gdyby na tym polu wykazano merytoryczną niesłuszność egzystencjalizmu, wtedy można byłoby go potępić, ośmieszyć, zlekceważyć. Tym niemniej po tym co zrobiono, czytelnik wie, jak egzystencjalizm komentować, nie wie zaś, co to właściwie jest egzystencjalizm. Sam zaś Sartre, który oczywiście odrzucał oceny wartościujące swoich przeciwników, może uważać wszystkie tezy głoszone przez siebie nauki za nieobalane. Podkreślam jeszcze raz: to co marksistowska krytyka egzystencjalizmu osiągnęła dotychczas, to, że wykazała symptomatyczność faktu, że w kraju o tak bogatych tradycjach rewolucyjnych i postępowych, jak Francja, mogła powstać ideologia anarchii ludzkiego działania, to, że wykazała specyficzność warunków politycznych i społecznych, w jakich egzystencjalizm powstał, było rzeczą słuszną i pożyteczną. Błąd polega na tym, że w zapale polemicznym zapomniano, że to jest dopiero połowa roboty.

Krytyka radziecka spoczyła na pozycji społecznej egzystencjalizmu traktuje bardzo jasno, otwarcie i z pewną brutalnością, na którą egzystencjalizm niewątpliwie sobie zasłużył. B. Pesis w artykule: „Literacko-filozoficzna parada Sartre'a”, dopatruje się geny egzystencjalizmu w bardzo konkretnych czynnikach politycznych: „Wiemy, że przy atomowej dyplomacji, metody szantażowania strachem przenoszą się łatwo z argumentacji politycznej na teren kultury”. Pesis specjalnie akcentuje fakty zdrady, jakiej dopuścił się Sartre wobec najszczytniejszych tradycji

własnego narodu: „Sartre ograniczony jest czarodziejsko — wąskim kręgiem ludzi oderwanych od współczesności, pozostających w odszczepieństwie i izolacji od narodu”. Pesis całkowicie demaskuje egzystencjalizm poprzez skonfrontowanie go z komunizmem. Z jednej strony ukazuje twórczą odwagę ludzi walczących o lepszą przyszłość, z drugiej strony programowe tchórzostwo kapitulantów. Reasumując, Pesis stwierdza przejściowy charakter całego ruchu, wytworzonego i związanego nieodłącznie z pozostającymi w stanie absolutnego rozkładu pewnymi grupami burżuazji francuskiej.

Inny publicysta radziecki J. A. Frid w artykule: „Estetyka współczesnego dekadentyzmu” rozpatruje literaturę egzystencjalistyczną na tle dekadentyzmu, charakterystycznego dla pewnej części literatury zachodnio-europejskiej. Przyczyną tego stanu rzeczy jest wg. Frida oderwanie od zagadnień, nurtujących cały naród: „Współczesnej i zachodnio-europejskiej dekadentycznej literaturze — pisze Frid — brak jakichkolwiek związków z narodem; na masy ludowe nie ma ona żadnego wpływu”. Frid jest zdania, że dekadenci francuscy, ani ich literatura bynajmniej nie odgrywają przodującej roli w życiu kulturalnym Francji: „Ciężenie współczesnej francuskiej studentki młodzieży ku marksizmowi — to zjawisko stokrotnie znamiennejsze, niż szum wywołany wokół filozofii Sartre'a, ostrożnie i złośliwie atakującej marksizm”. Po przeciwstawieniu literaturze dekadentycznej literatury postępowej Frid stawia horoskop na przyszłość: „Jeszcze nadal będzie rozwijać się postępowo, pełna talentu literatura zachodu, bo twórcze możliwości narodu nie są wyczerpane. Twórczość zaś tych pisarzy, którzy świadomie i uparcie oddzielają się od narodu — rozwija się utłumnie; jest martwa i pozostaje w świecie niebytu, do którego tak dąży”.

Jeżeli chodzi o krytykę egzystencjalizmu we Francji, to jest ona przeprowadzana zwykle łącznie z dokładnym zrelacjonowaniem stanowiska przeciwnika. W ostatnim numerze pisma „Civilisation” w tłumaczonego włoskiego artykule: „Egzystencjalizm, kryzys i chrześcijaństwo” — profesor uniwersytetu rzymskiego Enrico Castelli zajmuje się omówieniem prawej katolickiej odmiany egzystencjalizmu: „Egzystencjalizm prawnicowy — konkluduje Castelli — jest rozmyślaniami o grzechu pierworodnym i o konieczności odkupienia, egzystencjalizm prawnicowy nie jest niczym innym, jak tylko odnowionym potwierdzeniem filozofii chrześcijańskiej”. I dalej: „W ostateczności egzystencjalizm teologiczny jest nową formułą filozofii rewelacji, która jest obecnie jedynie filozofią kryzysu”.

Bardzo sumienną krytykę merytoryczną też ontologicznych Sartre'a z wykazaniem wszystkich ich niekonsekwencji przeprowadza również znany poeta francuski Pierre Emmanuel w piśmie „Fontaine” oraz Lucien Fabre w „Revue de Paris”. Ogólnie można stwierdzić, że we Francji stan krytyki przedstawia się zupełnie odmiennie niż w Związku Radzieckim. Obok sumienne przeprowadzonej krytyki merytorycznej, częstokroć, jak np. w cytowanych wyżej pracach, brak wyrażenia aspektu społecznego egzystencjalizmu. A to też niedobrze.

Witold Jedlicki

dzie powinno poważnie zastanawiać i dawać wiele do myślenia.

Niedawno w Ameryce opublikowano interesującą książkę Krakauera zatytułowaną „Od gabinetu doktora Kaligali do Hitlera”. Analizując współczesną amerykańską poezję „koszmarów i okropności”, porównując ją z

Z. S. R. R.

Powieść w Z. S. R. R.

Wojna szczególnie dla Rosji ciężka, nie osłabiła, pomimo skoncentrowania olbrzymich wysiłków społeczeństwa i państwa na odcinku militarno-gospodarczym tętna jej życia literackiego. Przeciwnie, dostrzegamy znaczny wzrost energii twórczej, co jest specjalnie uderzające w zestawieniu z sygnalizowaną przez krytykę zachodu posuchą literacką, jaka panuje obecnie na wyspach brytyjskich. Energia ta widoczna i w statystyce wydanych publikacji literackich w okresie 41 — 46 i, co dla odbiorcy zagranicznego ważniejsze, w niezwykłej wartości artystycznej znacznej liczby utworów z „Młoda gwardia” Fadejewa na czele. N. b. przy śledzeniu linii rozwoju artystycznego nie należy zbyt pochopnie przyjmować sugestii krytyki radzieckiej, mającej nie rzadko skłonność do dytyrambizowania. Zjawisko tej energii tłumaczy z jednej strony szczególnie wymagająca ingerencji pisarza chwila historyczna — z drugiej, co należy mocno podkreślić, zadania, jakie przed sobą postawił (oficjalnie na Zjeździe Związku Literatów w Moskwie — 1932 rok, pod przewodnictwem sędziwego Gorkija) świat literacki Rosji — zadania przewodnictwa we współczesnej rzeczywistości i przygotowania społeczeństwa do działania poprzez objaśnienie oddziaływujących na nie sił. Innymi słowy literatura w całej swej rozciągłości wypełnia zamówienie społeczne. Modne to obecnie w krytyce polskiej określenie jest prawdę rzekłszy terminem dość rozległym: obejmuje właściwie całą literaturę „czytelną”, w obrębie której mamy do czynienia z dwoma biegunowo sprzecznymi co do funkcji społecznej „zamówieniami” — oddolnym i odgórnym.

Pierwsze narzuca rynekowi literackiemu niewybredne gusty czytelników niewyrobionych, o braku, ograniczeniu, bądź to skrzywieniu zainteresowań kulturalnych, drugie — to wyraz potrzeb i zainteresowań czytelników wyrobionych i inteligentnych. Będzie to literatura ideaowa. Jedną z jej gałęzi posiadającą zdolność ogarniania i podciągania mas — to literatura dydaktyczna. Przykłady pierwszej: na niższym szczeblu — prymitywne romans kryminalny czy erotyczny, zaprawiony kliwym melodramatem, na stopniu wyższym — zamożniejsze mieszczaństwo — wyrafinowany, pikantny romans erotyczny, fantastyka niesamowitości n. b. świeżące obecnie triumf na zachodzie w związku z histerią atomową, anomalie psychologiczne.

Najogólniejszymi cechami literatury sowieckiej, które wyróżniają ją spośród literatur liberalnych, obsługujących dla potrzeb kasowych w równej mierze oba „zamówienia”, jest jej monolitość — literatura ideaowa, w pewnej części — dydaktyczna.

Jasne, że ta jednolitość mocno zwięża problematykę. W tym kierunku idą zarzuty zachodnio-europejskiej prasy krytycznej. Wydaje się jednak, że nie ma czego żałować. Nie narusza ona w naszym tematyki. Zarzut o drakońskiej dyktaturze „traktorów” wynika z reagowania „uczuciowego” przez Zachód na pewne tylko elementy tematyczne. Właśnie w latach wojennych — w 1942 r. — ukazał się i został wyróżniony nagrodą Stalinowską tak bardzo oderwany tematycznie od bezpośrednio rzeczywistości utwor, jakim jest „Cesarz Dawid” Hamsachurdi'ego — powieść historyczna o Gruzji XI wieku, a nie jest to wcale zjawisko oderwane.

Dydaktycznej literaturze równie rosyjskiej, jak każdej innej grozi niebezpieczeństwo spłykania rzeczywistości do granic... książeczki dla grzesznych dzieci”. W Rosji broniona, przed tym, a jednocześnie umożliwiająca spełnianie zadań społecznych „literaturze dużej” rygoru realizmu socjalistycznego wykształconego i wyrobionego przez doświadczenie pisarskie Gorkija.

Stąd niechęć do literackiego zawodowego, nacisk by literat był jednocześnie działaczem, a przede wszystkim w pewnej dziedzinie pracownikiem społecznym, co dałoby mu niezbędną dla pisarza-realisty zakład doświadczeń. Tak powstał „Poemat pedagogiczny” Makarenki. Dokładna wiedza o przedmiocie stanowi o umiarze i trafności pozycji wybitnych, że wymienię „Cichy Don” Szolochowa i „Dnie i noc” Simonowa. Z drugiej strony jasne, że ocena i rozumienie morfologii zjawisk jest socjalistyczne. Postulat integralnego obiektywizmu stawiany w różnych odstępach czasu na zachodzie jest nieporozumieniem, opiera się na micie, że obiektywizm taki jest osiągalny. Nie do

*) Rosamund Lehmann — British to day 1946 r. „Przyszłość powieści” — Autorka omówiwszy publikacje literackie, jakie ukazały się na przestrzeni roku w Anglii wyprowadza bardzo pesymistyczne wnioski co do przyszłości powieści angielskiej.

**) P. przekład artykułu Antokolskiego „O literaturze i wychowaniu młodych” — „Wies” Nr 42 (121).

niemieckimi filmami do hitlerowskiego okresu, ilustrując jak podobna „sztuka” demoralizuje czytelnika, Krakauer dochodzi do przekonującego zdania, że „kult sadyzmu w amerykańskiej twórczości okazuje się emocjonalnym odpowiednikiem faszyzacji kraju”.

Waldemar Kiwiłso

pomyślenia byłby taki realizm typu Hansa Fallady — „I cóż dalej, szary człowieku?” — ujęcie życia jako dzungli właściwie pisarzowi nieposiadającemu szerszych perspektyw ideowo-społecznych, bezradnemu wobec rzeczywistości, którą umie jedynie obserwować w zewnętrznych przebiegach.

Pisarz sowiecki czuje się w obowiązku zawrzeć w tekście wiedzę jasną i wyczerpującą o rzeczywistości społecznej. Charakterystyczną cechą współczesnej literatury sowieckiej jest jej optymizm, wynika on logicznie z omówionych wyżej postulatów literatury i z wiary socjalisty w owocność rozbudowywanego przez siebie ustroju.

Bohaterem — przechodząc do kwestii szczegółowych — tych, ku któremu ma się kierować sympatia czytelnika, nigdy nie będzie jednostką społecznie bierną, nietwórczą, lecz człowiekiem, który sformułowania krytyki sowieckiego*), „któremu harmonizowanie jego życia i pragnień osobistych z szerokim nurtem społecznym, gwarantuje pełny rozwój indywidualności”.

Dalsze różnice między literaturą sowiecką a zachodnią wyznacza już różnica struktury społecznej i ideologiczno-politycznej.

Należy uprzytomnić sobie, że 80 milionów obywateli radzieckich to już pokolenie porolucyjne, które wkroczyło właśnie w swój wiek męski. Znaczy to, że wprawdzie powoli i bez wątpienia z oporami, spełnia się zapowiedź Lenina: „Wnuki nasze patrzeć będą na dokumenty i pamiętniki z epoki ustroju kapitalistycznego, jak na jakieś dziwadła, nie będą sobie mogli po prostu wyobrazić, jak to handeł artykułami pierwszej potrzeby mógł znajdować się w rękach prywatnych, a człowiek mógł eksploatować drugiego”.

Z braku miejsca tylko dwa konkretne przykłady. We współczesnej literaturze radzieckiej nie istnieje popularny na zachodzie, a przedtem w carskiej Rosji schemat powieściowy: samotny społecznik przebijający głową mur nieprzystosowanej do jego utopijnych marzeń struktury społecznej i administracyjnej — Ibsen, Turgeniew, Zerkowski, Cronin. Ten typ utworu zniknął z zanikiem analogicznego zjawiska życiowego. Społecznik nie jest samotny, powrócił sam ustrój, mimo takich czy innych niedokładności aparatu administracyjno-społecznego nastawiony jest na to, aby mu pomóc. Ilustruje to przesunięcie niedawno wydanej i nagrodzonej w 1946 r. powieści Włery Panowej — „Towarzysze podróży”. Opory, jakie nieustannym wysiłkiem pokonywa jeden z bohaterów powieści Dr. Bielow, to już tylko zacinanie się aparatu administracyjnego w czasie wojny, niedostatek medykamentów, niewyrobienie i nieprzygotowanie przypadkowych wojennych sanitariuszy. Brak tu również hamletyzmu, ponieważ cele i obowiązki społeczne postawione jasno, dają otwarte pole każdej inicjatywie z tym warunkiem by była twórcza i zgodna z nurtem społecznym. Nowa powieść Beka — „Panfilowcy na pierwszej granicy”, to stały monolog głównego i właściwie jednego bohatera Mamysz — Uiy, „duszy rozchowy” — z samym sobą. Próżno jednak dopatrujemy się tu hipochondrii, bezpłodnego marmowania energii. Są to gruntowne i rzeczowe przemyślenia, po których następują czyny.

Wreszcie najogólniejsza charakterystyka powieści lat 42 — 46. Główna linia tematyczna, nie zacieśniająca jednak jak wyżej wspomniałem, tematyki rozleglejszej — to wojna.

Społeczny „bohater naszych czasów” pokazany w mundurze. Zmienia się jedynie jego funkcja społeczna, lecz nie nastawienie wobec życia i rzeczywistości. Wojna jest sprawdzianem walorów duchowych, jakie nabył przez wykształcenie socjalistyczne.

Ilustracją powyższego są dwie wyżej wspomniane powieści. Wymienię jeszcze najdoskonalszą artystycznie „Młoda gwardia” Fadejewa — powieść o dzieciach, które próba ogniowa charakteru zastała fizycznie i psychicznie nieprzygotowanymi, mimo to zdały swój egzamin celująco. „Ludzie z czystym sumieniem” Wierszigory — nagrodzona również w 46 r. powieść w charakterze reportażowym z partyzantki białoruskiej o sławnym partyzanckim generale Kowpaku. Kmicicowe bohaterstwo Kowpaka powoduje nie przerosł ślepych sił życiowych nad intelektem, lecz świadomości obowiązków społecznych i dokładne rozumienie chwili. Wreszcie „Powieść o współczesnym człowieku” — Polewoja oparła na wydarzeniu autentycznym, daje sztandarowy przykład siły woli, bohaterstwa i świadomości, nie tylko uczuciowej ideowości żołnierza — obywatela. Bohater powieści lotnik po amputacji obu nóg zgłasza się z powrotem do służby czynnej i siłą woli pokonawszy ogromne przeszkody fizyczne bierze udział w dalszych walkach.

Tadeusz Chróścielewski

*) Zofia Nels — Ideowo-artystyczne szlak sowieckiej prozy — „Znamia” 47 Nr 6.

Anglia — USA

Co oznacza kult sadyzmu?

„Upiory nigdy nie czuły się tak dobrze, w literaturze angielskiej, jak obecnie. I to jest bardzo znamienne. Po wojnie odżyły one ze specjalną siłą i żywotnością”. Tak pisał na stronach paryskiej gazety „Lettres Françaises” Louis Parrot analizujący dwie nowe powieści angielskie, w których głównymi działającymi postaciami są zjawy: powieść Torn Smitha i Normana Whitstone'a „Moja żona — wiedźma” i powieść Francisca Exhama „Spopielane serce”.

Rzeczywiście we współczesnej powojennej angielskiej prozie coraz częściej, miejsce żywych, prawdziwie ludzkich charakterów zajmują upiory, cienie, widma lub w najlepszym razie tylko bardzo dalekie podobieństwa ludzi.

W większej jeszcze mierze uwagi te odnieść można do współczesnej poezji angielskiej. Ostatni tom wierszy angielskiego poety i nowelisty, lidera grupy „Apocalypsis” Henry Treasa, już w samym tytule przynosi określenie charakteru tej poezji „Sad, gdzie brodzi zjawy”. Normalne ludzkie widzenia i uczucia zostają przesłonięte w nim reminiscencjami przeszłego lub przecuciami przyszłego kosmaru.

Wszystko to dzieje się jednocześnie w tak wymyślnych i skomplikowanych okolicznościach, że aż zatracających wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Jednakże podobne wiersze, poematy i opowiadania o świecie zjaw i upiorów okazują się całkiem niewinnymi w porównaniu z tą „produkcją upiorów”, jaka jest wytwarzana przez amerykański przemysł filmowy. Hollywood stał się

główną kwatery, rozsyłającą koszarne zjawy na wszystkie ekrany świata. Oto np. nazwy niektórych hollywoodzkich filmów: „Widmo wampira”, „Strasne przywidzenia”, „Córka diabła”, „Dusićiel z biota”, „Kobieta-wampir” itd. itd. A obecnie amerykańska firma filmowa „Universal” zawiadamia o nowej serii „super-upiornych filmów” które, jak powiedziane w reklamie „powinny doprowadzić widza do szpatycznego przerażenia”.

Niedawno na stronach amerykańskiego pisma „Publisher weekly” ukazała się informacja o nowym zbiorze „Strasznych opowiadań” opracowanych przez Alfreda Hitschcocka, kiedy odnosił wrażeń przerażenia przypomnijcie Alfreda Hitschcocka, reżysera takich przerażających filmów jak: „Trzydzieści dziewięć kroków”, „Obcy korespondent”. Obecnie nie zadowolając się tymi koszmarami, którym raczył swych widzów, Mr. Hitschcock wydał książkę, która powinna „paraliżować i obezwładniać świadomość człowieka swą grozą i upiornością”. Wybrał on z „literatury strachu” dwadzieścia siedem opowiadań, które najlepiej potrafią spełniać zadanie utrzymania czytelnika w stanie trwogi.

Wydać się może, że takie książki i filmy należą do rodzaju, którego zadaniem jest odciąganie konsumenta od realnej rzeczywistości. Jednocześnie jednak ta literatura atomowego katastrofizmu, psychicznego szantażu pełni z konieczności jakąś rolę wychowawczą. Obecne jej rozplenie się na Zachodzie

BYLE MGLISTY i zimny ranek jesienny, kiedy ten człowiek pojawił się tu wśród stert piasku, stosów desek i ceży porostawianych beładnie wśród sosen wieloletnich i pośród młodych sosnowych zagajników. Pociąg przystanął na stacyjce nienotowanej jeszcze przez istniejące mapy kolejowe i po krótkim, minutowym postoju ruszył dalej. Zaden z pasażerów nie wstępował na stację. Nie było zresztą gdzie. Czworobok z desek, przewrócona na bok obrzydliwa skrzynia — to właśnie ona. W kącie odgraniczonym trzema ścianami od świata, mały kiosk, w którym pokutuje dyżurny kolejarz — to wszystko, co nosiło nazwę stacji... Zatrzymać się tu nie było po prostu możliwe. Robotnicy sfrunęli ze stopni wagonów na kilkadziesiąt kroków przed miejscem postoju pociągu i natychmiast zginęli w gęstwinie sosen i zagajników. Tylko ten człowiek stanął na skrzyżowaniu szosy i torów kolejowych i rozglądał się beładnie...

Dał zimny, przenikliwy wiatr. Człowiek stojący na szosie poprawiał własnie kraciasty, pled, spod którego jedynie wyglądał koniec nosa i czub futrzanej czapki, kiedy przeszedł koło niego. W tych dniach opianowanych szalonym tempem pracy nie było czasu na przyglądanie się ludziom, choćby najbardziej dziwnym, mimo to przystanął; zresztą i ten beładny człowiek nosił się z zamiarem zatrzymania mnie...

— Bardzo przepraszam... — odezwał się spod owinięcia kraciastego pleda, a równocześnie, człowiek mówiący uniósł nieco rękę w kierunku czapki. Był to gest powitania... Potem człowiek ten schylił się po teczkę i dopiero stanowiąc prosto powtórzył:

Bardzo przepraszam... — Nie ma za co — odpowiedziałem, zamierzając iść dalej. W tych czasach nikt tam wśród tego lasu i pośpiechu nie zwracał uwagi na konwenanse —

— A ja chciałem pana zapytać o drogę do... tu człowiek zaczął grzebać po kieszeniach czarnego palta, zapewne poszukując notatnika z adresami. Nie znalazłszy go i tak sobie przypomniał cel swej podróży... — Do elektrowni, a właściwie na miejsce budowy...

— To proszę za mną... — Człowiek skulił się w sobie i drobnymi krokami podążał za mną. Zeszliśmy z szosy gdzie było za wiele błota i wstąpiliśmy na ścieżkę prowadzącą przez środek zagajnika. Tu było ciszej. Przystanąłem dla zapalenia papierosa, a on uwolnił nieco twarz spod pleda. Wtedy zobaczyłem, że człowiek to stary, że patrzy natarczywie, a to na skutek tego, że jego wzrok nie jest najlepszy i że dziwaczna jego szpiczasta bródka jest nieco szpakowata...

— Czy można pana zapytać, — zagadnął człowiek z pledem.

— Spytać zawsze i wszędzie — odpowiedziałem.

Zaczęła mnie bawić ta grzeszność starszego pana w czarnym palcie, długich, doskonale zaprasowanych spodniach, w kaloszach i z pledem na głowie...

Kto chodzi po tych wrzosowiskach w czarnych spodniach z kantem, w kaloszach i z pledem?

— A ja chciałem pana zapytać, jeśli można, czy pan pracuje na tej budowie?

— Tak.

Uszliśmy znów ze setką kroków, gdy memu towarzyszcowi zsunął się kalosz. Znow przystaliśmy.

— Ja nie chciałem być natrętnym, ale znow muszę zapytać o charakter w jakim pan tam pracuje...

— Charakter? — zapytałem nie powstrzymując uśmiechu.

Każdy, kto tam pracuje, jest nagłym, gwałtownym, cholerycznym charakterem... A jeśli chodzi o to, co ja tam robię, to powiem panu, że jestem tam buchalterem, gdy trzeba, magazynierem, pomocą techniczną, rachmistrzem, a czasem poganiaczem ludzi... Kto wie, czy lada dzień stróżem nocnym nie stanę, jeśli ten, co jest, nie ukradnie sam czego i nie ucieknie.

— A ja, widzi pan, mam informacje, że materiał ludzki jest tu pierwszorzędnym... że robotnicy są tu doskonali i, że specjalny nadzór nad nimi nie jest konieczny...

— Konieczny jest, proszę pana...

— Kiedy widzi pan, źródło z którego pochodzi ta dane jest nabyte...

— A to źródło, z którego ja mam swoje dane, jest jeszcze dokładniejsze, bo to jestem ja sam. Przystaliśmy znowu, stary pan wjął okulary i jakoś je tam, mimo pledu, usadowił na nosie...

— Widzi pan — mówił pan z pledem — to są sprawy o tyle dla mnie ważne, że będę się starał rozpocząć budowę kanału dopływowego w jak najkrótszym czasie. Teraz z kolei ja zacząłem się dziwić, nie mieć ochoty do odejścia i patrzeć w milczeniu na rozmówcę. To ten co niedawno stanął do przetargu — na wykonanie tego kanału, człowiek, którego oferta opiewała na sumę o 40 tys. złotych niższą od najtańszej z pozostałych ofert, a o całe 100 tys. niższą była od oferty naszej firmy. Już kilka dni mówi się w naszym kantorze o wariacie, który podjął się za tak śmieszna cenę roboty, której my po prostu — baliliśmy się... Znalaliśmy przecież ten teren, te usypiska lotnych piasków, warstwy wodoszczelne iłów błękitnych i zielonkawych, pod którymi leżą gęsto zwaliska pni drzewnych o obrzydliwej śred-

*) Opowiadanie Gębali jest wspomnieniem z okresu liberalizmu gospodarczego w Polsce. Mimo społecznie marginalnego osiągnięcia „Dziadzia” w opowiadaniu jest tyle rzadkiego u nas szacunku dla planującej myśli technicznej łamiącej naturalne trudności, że uznaliśmy za celowe opublikować opowiadanie, jako świadectwo stosunku pisarza ludowego do tej sprawy.

Red.

Stanisław Stefan Gębala

„DZIADZIA”*)

ilustr. S. Cieloch

nicy, zamulone tu przed wiekami przez wody potopy chyba...

Ten człowiek prawdopodobnie nie wie, że kopiąc tu byle rów, trzeba go wszechstronnie zabezpieczać, szalować, stemplować, podierać itd., że trzeba te ily pełne żródeł, wód podskórnych kuć oskardami, a potem natrafiwszy na zwaliska drzewne, gryźć je zębami, chyba cał po calu, całymi tygodniami, co nadwyręży na, mocniejszą kalkulację i ten człowiek ma pled, okulary, kalosze, pa rasoł też pewnie ma, kiedy tu trzeba tupać się w błocie po kolona, albo na zmianę „przy dobrym wietrze” lykac tumany lotnego piasku wśród piaszczyste zwalisk...

Wyrwał mnie z tej zadumy głos mego towarzysza...

— Czemu się pan dziwi?

nia wyliczaniem wszystkich kłesk żywiołowych i plag egipskich, które spadną na kanał dopływowy i pogrzebią na jego dnie kalkulacje i nadzieje przedsiębiorcy, który po wielu katastrofach odejście stąd jakby bosso i bez portek...

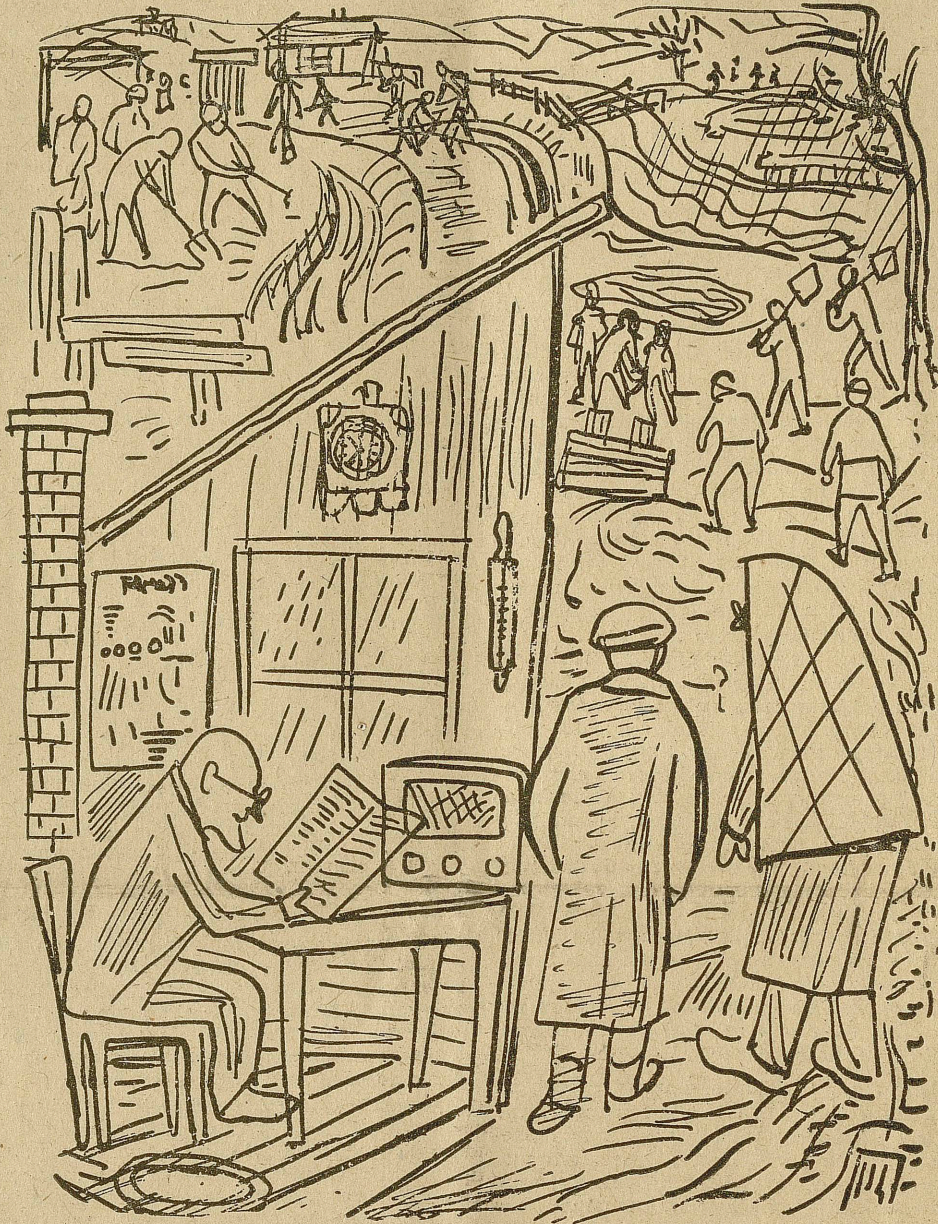
W opowiadaniach tych celował szczególnie student... Siedział wtedy okrakiem na krześle i lwowskim akcentem głosił swoje credo.

Jednego razu starszek nieoczekiwanie w czasie takiej rozmowy zapytał:

— Czy słyszał pan jak budowano kolej transsyberyjską?

— Czytałem — powiedział student.

— A ja widziałem — rzekł grzesznie starszek, ale, że upłynęło już pół godziny przeznaczone na rozmowy na wolne tematy, więc wstał, wzięł kalosze, począł pakować teczkę.



— Rzeczywiście — rzekłem — dziwię się, ale chyba pójdziemy dalej... Powiedział mi jeszcze, że przyrzeczono mu początkową pomoc i radę w firmie. — Tu wymienił nazwę naszej firmy i, że chciałby się najpierw zobaczyć z dyrektorem przyszłej elektrowni, który dziś pokaże mu teren. Objąknętem go, że dyrektora rozpoznawa po myśliwskim stołeczku, który nosi ze sobą i po grubym cygarze, które ǳmi wieszkał, a co do nas, to już od kilku dni czekamy... Poszedł w kierunku budowy, a ja do kantoru. Wzbudziłem sensację opowiadając o przypadkowym poznaniu zuchwalca, o którym od kilku dni gadaliśmy.

— Jaki jest ten frajer? — pytał student politechnika, a u nas technik-kierownik...

— Hm... — niski, stary, szczupły, z bródką w okularach, w pledzie i kaloszach i bardzo grzeszny.

— Dziadzia — zawyrokował technic, włożył w kieszeń taśmę i wyszedł na budowę.

— Czy nie mówią, że do nas przyjdzie? — zapytał inżynier.

— Przwijdzie, gdy już pozna dyrektora.

— A ma coś w sobie, takiego z budowy?

— Ani trochę...

— Hm! — to spojrzeli i pojedzie bez pożegnania — zakończył inżynier, bo właśnie przed kantorem stanęła gromada robotników z nocnej zmiany, wrzucając do puszek blaszki numerów kontrolnych.

II.

Od tego dnia począwszy „dziadzia” przez kilka dni pracował pod naszym dachem. Przychodził punktualnie o 8, wieszkał na ścianie pled i zdejmował kalosze, poczem zakładał okulary i witał się z nami, poczem zdejmował palto i przez godzinę notował, telefonował do firm, zapytując o ceny desek, papy, cementu, poczem z kolei wkładał palto i nakładał kalosze, wychodził na swój teren. Punktualnie o 12 wracał, zdejmował kalosze, szedł z nami na obiad, skąd wróciwszy notował do godziny 14 punktualnie, poczem gotów był do rozmów z nami, o ile nasz czas i ochota sprzyjały temu. W czasie jednej z takich rozmów personel techniczny naszego biura zdażył poinformować go o technicznych trudnościach, jakie go czekały... Słuchał nie zdradzając większego zainteresowa-

wreszcie pożegnawszy się z nami, owinał się w pled i wyszedł obiecując kiedyindziej opowiedzieć o tym coś nie coś.

— A jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, że jego kalkulacja nie wytrzyma tych trudności — powiedział pan inżynier.

— Frajer on jest — stwierdził po raz setny chyba student.

„Dziadzia” nie zdążył opowiedzieć nam o technice budowy transsyberyjskiej, bo po kilku dniach miał już wykończony własny barak, gdzie zamieszkał i urządził kantor swej budowy. Odwiedziłem go tam pewnego dżdżystego popołudnia. W pięknie urządzonym kantorze był tylko chłopak-goniec. Pałił właśnie w piecu, od którego co chwila odrywał się, by spojrzeć na termometr wiszący nad biurkiem. Chłopak dawniej pracował u nas i mnie zawdzięczał swą pierwszą biurową „hadukację”. Tak nazwała jego pracę rodzona jego matka, wtedy gdy przywiódła go tu wprost z pastwiska od pasienia krów.

— U nas, to tak — mówił rezolutnie chłopak — wszystko na zegarek i na miarę... Pogoda idzie według tego — tu wskazał na duży aneroid — ciepło według tego tu, a „lekstryka” na tamtym się pokazuje...

— A te drewna do pieca, też na miarę?

— Nie.

— No to pal, aż piec pęknie — powiedziałem, bo w kantorze było zimno, a termometr wskazywał dopiero 10 stopni.

— Ma być najmniej szesnaście — zawiadomił mnie chłopak wtykając równo pocięte drewnianka do pieca.

Wszedł „dziadzia”.

— Aa! — zaczął od progu, ale najpierw zdjął kalosze, potem pled zawiesił w pobliżu pieca, potem spojrział na termometr, potem na chłopaka i wreszcie zaczął się witać.

— A, jak to pięknie, że zajął pan do starego...

— A a! a jest pan moim najstarszym znajomym w tych stronach i w co nie wątpię przyjacielem.

— Naturalnie — burknąłem.

— Że też panu wcześniej na myśl nie wpadło zająć tutaj kiedy... Widzi pan siedzę tu sam z tym Władkiem, który mi licho pali w piecu.

— Zaraz będzie ciepło — wtrącił się do roz-

mowy chłopak, klęcząc przy drzwiczkach pieca...

— Popatrzyłem na diagram, terminarz robót i zapytałem o robotę.

— Widzi pan zielone kratki to trasa. Przewidzieli to za dwadzieścia pięć dni, a ja w dziesięciu... Aahaha... Ale oni zakładali, że oczyszczenie trasy obędzie się bez kosztów, że chłopci z okolicy za darmo za sam chrust oczyszczą trasę...

— Chłopi, chłopci — mówił dalej z przekąsem — jacy tu są chłopci? w robocie... Jeśli nie na wyrębach, to na tym ich „flisie” to za granicą, a tu teraz... Ja zapłaciłem wyczyszczenie trasy, a jutro zaczynam...

Tego dnia „dziadzia” rozpoczął właściwą pracę i od tego dnia zaczęło się krytykowanie w naszym biurze.

— „Dziadzia” warstwami sobie idzie — mówił student — z górki zajął już 2 metry, a łączki jeszcze nie ruszył. W tygodniu później student zakomunikował, że „dziadzia” ma już wodę w wykopie i, że wodę tę puscił na łączkę, na której zrobił się wnet jezioro. Następnego tygodnia poziom wydma — wykopy był już poniżej poziomu łączki i student naśmiewał się z poszukiwania sposobu, jej wypuszczenia do koryta Sanu. Wtedy znowu odwiedziłem „dziadzia” w godzinach, kiedy powinienem być w swym biurze. Był w ogromnym wykopie wśród zwalów wywalonej ziemi, na jego dnie pluskała woda. Robotnicy w gumowych butach pluskali się w niej, stemplując deskowaniem ścian bez pośpiechu. Do biura dochodziły odgłosy tej pracy, jak z głębokiej studni. „Dziadzia” był grzeszny i spokojny jak zawsze. Pokazał mi diagram prac, na co ja wspominałem o stawie na łączce...

To zdawało się interesować starszka.

— Do rzeki go nie wypuszczę, bo zwierciadło wody w niej jest wyższe od poziomu na łączce. Zresztą za daleko. Za to zaczynamy kopać u brzegu rzeki... Stamtąd trzeba było zacząć.

— A na co? — To obojętne. Na tym skończyła się rozmowa o sprawach technicznych a „dziadzia” jął dopytywać się o mnie, ni mniej, ni więcej tylko o mój rodowód.

Tumaczyłem mu już kiedyś, że pochodzę z tej okolicy, że 20 km stąd w pewnej zapadłej wsi, położonej pod lasem stoi moja rodzinna chatka, w której bywałem latem, co niedzielę, a zimą co dwie... Nie o to mu jednak chodziło.

— Czy pańscy przodkowie od dawna tu mieszkają — pytał przecierając okulary. — Pewnie od zarania dziejów tej osady — powiedziałem chcąc zakończyć ten temat. Nie udało mi się.

— Bo widzi pan — mówił starszek mam niejakie prawo podejrzewać cię o kuzynostwo... Skąd, co jak — nie powiedział. Obiecał natomiast w przyszłości wyświetlić tę sprawę traktując mnie od tej chwili, per ko chany kuzynie... Uzdurał sobie coś ten dziadzia — myślałem i kuzynuję mnie tu niewinnego. Pewnej nocy po ulewnym deszczu u „dziadzia” oberwał się brzeg tak pieczołowicie chroniony ścianami, na które zużyto całe wagony desek i stempli... Kanał na znacznej przestrzeni był do połowy zaspany, a poza tym pod zwalami złomu znalazła się jedna z małopomp. Znow odwiedziłem „dziadzia”. Znow był grzeszny i spokojny, znow mówił mi kochany kuzynie i nie przejmował się katastrofą. — Ziemię usunie się w ciągu tygodnia...

— No tak, ale pompa?

— Jest już niepotrzebna.

— Jak to?

— Lada dzień doczeka się mrozów — i tu wskazał stado wron, które osiadły wierzchołki drzew rosnących opodal... One czują bliskość mrozów, barometr idzie na pogodę...

A kiedy w naszym biurze powiedziałem, że „dziadzia” czeka na mrozy, że wszystkich ust się wyrwało niespodziewanie jedno przeciągłe aaaaa!

III.

Po krótkotrwałych przymrozkach nastąpiły słoty jesienne. Deszcz mżył całymi dniami, wzmagał się, czasami aż do gwałtownej ulew. W mokrym powietrzu kłębiły się szare obłoki, coraz to niżej nad ziemią. Ziemia zmieniła się w szarą masę błota pociętą brzdami kałuż... Na wykopach zatrzymywano pracę, aż do polepszenia się pogody, gdy tymczasem wróbiła P.I.M. codziennie zapowiadała wiatry południowo-zachodnie, co było równoznaczne z dalszym trwaniem sło-ty...

Wykopy „dziadzi” wypełnione wodą wyglądały, jak dziwaczne jezioro, po którym pływają resztki jakichś rzeczy... Deski, profile, stemple, wszystko, co nie przymocowane było w wykopach pławiło się na powierzchni tego stawu, który w miejscu, gdzie istniała łączka łączył się z drugim stawem znacznie rozleglejszym, dotykającym jednym końcem widocznej zdale wsi, drugim zaś ze spienionym rozlanymi wodami korytem Sanu... Robotnicy już dawno poszli do domów, z dnia na dzień wyglądając pogody... Co wieczór brnąłem przez zwaliska pów i glin do baraku „dziadzi” wiedziony tam jego pewnością siebie... Idąc do niego myślałem codziennie.

— Dział „dziadzia” skapituje... Wracając miałem zawsze zupełnie inne o tym zdanie... Dziadzia był spokojny, nudził się, zainstalował także radiodbiornik i czytał gazety... Codziennie słuchaliśmy monotonnego szumu deszczu po dachu baraku, codziennie słuchaliśmy plusku wody spadającej zewsząd do wykopów. Aż jednego wieczora, kiedy to z głośnika P.I.M. zapowiedziano, jak zwykle południowo-wschodni wiatr i niepogodę, zmarłem siedząc przy oknie baraku.

Jeden z majstrów, który codziennie przychodził dowiadywać się: „co dalej?” — również zmarł, a Władek rozpoczął dodatkowe ogrzewanie baraku. Kiedy późno w noc wychodziłem, poczułem przy oparciu się o deskę szta-

lowań lód... Pod nogami jeszcze błoto, ale na deskach maleńkie sople lodu. Wróciłem do „dziadzi” z soplem lodu. Uśmiechnął się i dotąd go trzymał, aż mu stała na dłoni. Na odchodnym silniej niż zwykle ścisnął mi rękę — Dziękuję ci kochany kuzynie.

— Za co?

— Za tę brykę lodu.

Upłynęło znów parę dni... Mróz rósł z dnia na dzień... Codziennie Francuz Dombre zatrzymywał się przed ślupem z termometrem i kręcił głową... Znikło błoto, kałuże, oschłe brudziły pośród zagonów, woda na rzecze opadła gwałtownie, a przy wykopach „dziadzi” tylko szybka białego lodu wiszącego w powietrzu świadczyła, że kiedyś była tam woda... Jednego dnia mróz wzrósł w ciągu dnia nagle o kilkanaście stopni... Ze czterech stopni rano, o dziewiątej, wieczorem zrobiło się szesnaście...

W baraku „dziadzi” wrzała praca — nad otapalaniem ścian i nad rozpalaniem pieca do temperatury czerwonego żaru... Tego wieczora „dziadzi” wysłał majstra, stróża nocnego i Władka, wszystkich naraz do wsi, w której jego robotnicy czekali na wezwanie. Było to na kilkanaście zaledwie dni przed wigilią Bożego Narodzenia... Rozpuszczaliśmy robotników na święta, wyniszczając każdego indywidualnie termin powrotu do pracy. Inżynier wyjechał do Warszawy, student gotował się również do wyjazdu. Na naszym placu budowy panowała przeraźliwa pustka. Jedynie nocą, stróże nocni palili na halli maszyn ognisko, którego płomienie widoczne były przez okna pierwszego piętra.

Rankiem w dzień wigilijny, kiedy już byłem tylko sam w baraku, obudził mnie ścisk stróża, który wszedłszy zameldował swoje odejście, trząskając, jak Marek po piekle... Ubrałem się szybko i wyskoczyłem do katoru...

— No co? — krzyknąłem

— Ano odchodzą — meldował stróż.

— No, a dzienny już jest?

— Jest

— Czego tu nie przyszedł?

— Przyszli, ale wszyscy poszli do „dziadzi”. Co tam ludzi, aż ze wsi poprzychodzili. I jo tam zaraz ide... Trzasnął kiuzczami, potem z huktem zamknął drzwi i poszedł... Do „dziadzi” naturalnie, na ulewowsko... W tej chwili zadrażniały szyby w oknach, raz, drugi, trzeci... Grzmot wybuchów rozlegał się po lesie... Nie zwiózając dłuższymi poszedłem w kierunku kanału „dziadzi”. Między sterty skamieniałych od mrozu brył iu, minąłem pierwszy wykop i na następnym zatrzymałem się, aby popatrzeć w dół... Wśród lasu stempli obłożonych na biało uwijały się ludzkie... Ani śladu wody... Na bagniskach przed ślupami rozpoczętych pracowali ludzie, oskardami i kilofami, wywozili takimi piach, cudem mrozu zmienionymi na skałę... W oddali doym łączką znowu za grzązłały salwy... Tylko poza siny, szybko idący w górę wskazywał ich miejsce... Dziadzia stał na stercie iu i gliny i patrzył w stronę Sanu... Płed na nim, jak zwykle, kalosze ja zawsze... Podeszedłem bliżej... Zbiegł szybko ze sterty, zobaczywszy mnie z daleka, wyścięgnął rękę... — Jutro na pierwszych figurach będziemy mieć dno. A te wiwaty? — zagadnąłem krótko... — Rozsadzamy zwałiska na brzegu rzeki... Weszliśmy do baruku... Władek palił w piecu, po przyległej kuchence krzątała się dziewczyna... — Co to? Poszedłem zobaczyć. Panienska, ta z kantyny gotowała coś w niezliczonych garnkach i rondlach, sekretarz przy bocznym biurku napychał listowe koperty... „Dziadzi” rozkrecał się z plega i zdejmował kalosze... Stanałem przy ścianie nad jego biurkiem... Stał za mną i przez moje ramie wyciągnął rękę...

— Proszę cię kuzynie — mówił zobacz te żółte wykopy... To błękitne pompowanie wody możnaby skreślić... A za dziesięć dni będziemy mieć dno na wszystkich figurach i zaczniemy betonowanie...

— A u was?

— My już świętujemy — odpowiedziałem...

— A ty?

— Zaraz pojedę do domu... „Dziadzi” cofnął się o krok, potem rozłożył ręce i tak zagroził drogę do drzwi... Potem znowu zrobił krok naprzód i ustał na krześle.

— Widzisz, ja tu dziś przygotowałem wigilię... Wieczorem przyjdzie mój syn, a bardzo życzyłoby sobie mieć cię cały dzisiejszy wieczór u siebie...

— Ba! — Ale ja jużzym szóstą wigilię był poza domem. „Dziadzi” spuścił głowę na pierś, na których załamała się szpiczasta brodka... Wkrótce podniósł się i jakoś wesoło powiedział: — Pozostanie ci siódma i wiele, bardzo wiele następnych... Władek w tej chwili hakreślił radio... Panienska wniosła tacę z karafką i kieliszkami... Wszedł główny majster „dziadzi”. Potem były kieliszki czerwonej, zielonej, krysztalowej i inne. Potem robotnicy przynieśli choinkę, przyjechał syn „dziadzi” wesoly i miły student filozofii...

— Filozofii — przeciągał staruszek prezentując go nam, którym wino i rodzaje alkoholu oraz ciepło krocilo w głowach... Wieczorem „dziadzi” uzasadniał swe podejrzenie mnie o kuzynostwo, identycznością mojego nazwiska z nazwiskiem jego żony...

— Coś mi się przypomina, ale nigdy nie lubiłem zagłębiać się w zawilość rodowodów... Z głośnika płynęła melodia koledy, na ścianie wisiał diagram, ze śnieżną niebieską kratką oznaczającą nie istniejącą sprawę wody... Z prawej strony syn „dziadzi” słuchał opowiadania majstra, a on sam, „dziadzi”, siedząc na przeciw mnie podnosił do góry, nie wiadomo który z rzędu czerwony kieliszek... Na pohybel wodzie! — krzyknąłem... Na pohybel — powtórzył syn „dziadzi”, majster Stempka i Władek nie wiedząc, o co chodzi...

Stanisław Stefan Gębala

Tadeusz Orlewicz

DROGI NAPRAWY*)

Obraz ogólny światowej polityki aprowizacyjnej ilustruje na stosunkowo ważnym odcinku poważnie niedomagania i usterki polityki gospodarczej świata jako całości. Nasuwają się od razu rozliczne analogie pomiędzy schorzeniami ustrojowo-ekonomicznymi, jakie toczą organizmy wewnętrzne wielu państw, a dysproporcjami, towarzyszącymi w rozdziale dóbr konsumcyjnych, przede wszystkim zaś żywności na świecie.

W poszczególnych państwach toczy się walka o sprawiedliwy podział dochodu społecznego z mniej lub bardziej udanym skutkiem. W krajach kapitalistycznych jest to walka mas robotniczych, prowadzona pod hasłem negacji istniejącego ustroju, jako ustroju wyzysku człowieka przez człowieka. W krajach demokracji ludowej walka ta ma charakter pozytywny, prowadzi się ją bowiem o podwyższenie wspólnego dochodu narodowego, który pomażają przez czynności produkcji i pracy, pomnaża udział pracy nie tylko w dochodzie społecznym, ale i udział w decyzjach na bieg spraw państwowych.

Mimo przeciwieństw — dwie grupy państw, kapitalistycznych i grupa państw o ustroju socjalistycznym lub demokratycznym mogą z powodzeniem w skali światowej współżyć ze sobą. Jeżeli tak, to od razu nasuwa się pytanie, skąd rodzą się zadrżnienia, skąd wroga postawa wzajemna, gdzie jest punkt weźwioły zagadnienia? Dla państw demokracji ludowej idea pokoju światowego jest celem ich polityki wewnętrznej i zagranicznej. Sprawiedliwość społeczną bowiem ma postać ładu i pokoju wewnątrz krajów i na całym świecie. To wszystko, co wywołuje fermenty i wrzenia, winno być z punktu widzenia demokracji ludowej usunięte. Drogi, jakimi dążą te kraje do osiągnięcia ładu i pokoju w najszerszej

*) Patrz: T. Orlewicz — „Światowa polityka aprowizacyjna” („Wies”, Nr 47 i 49—50 1947 r.) oraz — „Głód na kuli ziemskiej” („Wies”, Nr 4, 1948).

Przegląd prasy ekonomicznej

Zgodnie z założeniami pierwszej fazy Planu Trzyletniego, przypadającej na rok miniony inwestowano w przemysł dóbr produkcyjnych osiągnąć prawie pełne uruchomienie produkcji przemysłowej w przewidzianych rozmiarach. Z innych podstawowych zagadnień gospodarczo-społecznej polityki ub. roku wymienić należy likwidację „wąskich gardeł” w transportach, zakończenie akcji dostaw U. N. R. R. A., systematyczne osiedlanie Ziemi Odzyskanych.

„Tymczasem nieprzewidziane klęski żywiołowe — czytamy w numerze 1-szym „Życia Gospodarczego” z 1948 r., „Rok 1947” (artykuł redakcyjny) — postawiły szereg dodatkowych zadań, wpływając hamująco na szereg poczynań. Ostra zima i powódź wiosenna stały się czynnikiem, który poważnie zaciążył na pierwszym szczególnie półroczu ubiegłego okresu. Zamknięte porty zahamowały import. Na skutek tego uległy wstrzymaniu końcowe dostawy UNRRA, uległ zahamowaniu dowóz surowców, co odbiło się szczególnie niepomyślnie na przemysle włókienniczym, ponadto zahamował się eksport drogą morską. Opóźnił się również sezon budowlany. Wymarzy też w wielu miejscach oziminy, zmuszając do ponownych zasiewów. Wymarzy gdzieś niegdzie kartofle. Wreszcie powódź zniszczyła szereg mostów i załamała liczne wsie, zmuszając do bezpośredniej akcji ratunkowej i do akcji pomocy odbudowy, a nawet przesiedleń na Ziemi Odzyskanej...

Mimo tych trudności bilans produkcji przemysłowej za rok 1947 przedstawia się naogół pomyślnie i daje uzasadnione powody do optymizmu. Przemysł węglowy wykonał plan roczny w 103%, jeżeli chodzi o wydobycie węgla, a załadował go w 100% planu. Przemysł energetyczny osiągnął w ciągu ubiegłego roku 140% produkcji przedwojennej, mając za sobą poważne osiągnięcia w dziedzinie elektryfikacji wsi i ośrodków miejskich, przede wszystkim zaś w dziedzinie budowy linii przesyłowych energii elektrycznej, jak połączenie Śląska przez Różnów z Warszawą, linia Śląsk—Łódź, linia na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej czy ślaski pierścień wysokiego napięcia. Podstawowe grupy przemysłu hutniczego, a więc koks, surowka, stal surowa i wyroby walcowane przekroczyły planowaną produkcję roczną.

Podobnie przemysł metalowy. Przemysł paliw piynnych nie pracował pełną parą, gdyż import obejmował przede wszystkim przetwory gotowe, a nie surowiec. Pomyślnie próby wierzeń w Kieleckim (ropa), czy na Kujawach (sole potasowe) ożywiają zapewne przetwórstwo krajowe. Przemysł dóbr konsumcyjnych jak np. włókienniczy, skórzany czy papierniczy, pozostały w tyle poza produkcją dóbr produkcyjnych. Dokonały one — czytamy w 1 numerze „Życia Gospodarczego” z 1948 r. — w okresie r. 1947 reorganizacji, która np. w przemyśle włókienniczym doprowadziła do miejscowych wahań w zakresie produkcji, zanim dały się odczuć, pozytywne wyniki zealania mniejszych fabryk i usprawnień administracyjnych”. Ostra zima wstrzymała dostawy surowca dla przemysłu włókienniczego, przemysł — papierniczy i skórzany odczuwały również brak surowca. Przemysł spożywczy spotkał się także z rozmaitymi trudnościami. A więc surowcowymi

skali — to kierunek walki o wolność od głodu, nędzy, strachu i od wojny, posługując się określeniami rooseveltońskimi. Rzecz więc opiera się tutaj o przeludnowanie bazy ekonomicznej. Przebudowa odbywa się drogą wprowadzenia w życie podstawowych reform gospodarczo — społecznych. Te reformy z kolei likwidują kapitalizm w gospodarowaniu, unicestwiają wpływy finansjery międzynarodowej i utracają elementy pasożytnicze, żywiące się na koszt ludzi pracy, robotników i chłopów.

W konsekwencji drogi te prowadzą jednocześnie do utwierdzenia suwerenności narodowej i do podniesienia stopy życiowej przeciętnego obywatela. W krajach idących tą drogą, widzimy powszechne stosowanie nowej techniki gospodarowania, a więc gospodarki planowej. Poza znanymi już cechami planowego gospodarowania warto tu podkreślić, że w tym systemie tkwi naszym zdaniem szereg zasadniczych. Prawda, że dzięki gospodarce celowej możemy w sposób jak najbardziej celowy i jak najbardziej ekonomiczny wykorzystywać usługi maszyny i pracę człowieka. Prawda, że zdobyte efektywne tego typu gospodarowania są poważne. Ale prawdą również jest, że system gospodarki planowej jest systemem gospodarowania jawnego, w którym przed całym narodem zdają właściwe czynniki rachunek i w którym cały naród uczestniczy tak jak każdy członek rodziny uczestniczy w wykonywaniu budżetu mieszczyńskiego swojej rodziny.

Przebieg wydarzeń dziejowych każe twierdzić, że systemy demokracji ludowej i ludowego gospodarowania mają obecnie wyraźną i naturalną tendencję do rozszerzania swego zakresu działania na coraz nowe kraje. Są to bowiem systemy, które zrodziły się w lewicy społecznej i do ich realizacji powszechnie na całym świecie dążą masy robotnicze wsi i miast. Coraz powszechniejsze wprowadzanie ich gwarantuje utwierdzenie się pokoju światowego z jednej strony, z drugiej zaś — likwidację kapitalizmu. I tu tworzy się punkt starcia.

(olejarstwo i browarnictwo) z powodu niezorganizowanej i niedostatecznej akcji zbierania owoców, niemożności przeróbki wskutek braku chłodziń, czy też niedomagań w transporcie. Przeciwny spożywcą utrzymywał się jeszcze stale w podkonsumcji, nieraz i na skutek wadliwego rozpraszania zapasów. Na zagadnienie zapasów zwrócił uwagę dr Mirosław Orlewski w numerze 11-ym „Wiadomości Narodowego Banku Polskiego” („Dynamika zapasów”) podkreślając, że zjawisko nagromadzenia zapasów nie powinno zaistnieć w systemie gospodarki planowej, szczególnie, gdy utrzymuje się stan ogólnej podkonsumcji.

Stosunkowo niepomyślną sytuację na odcinku spożywcza spowodował w dalszym ciągu jeszcze niski stan produkcji rolnej. „Produkcja rolna — czytamy w 23 numerze „Gospodarki Planowej” (W. Sz. „Pierwsza ocena”) to jest główna dziedzina, która nie dopisała. Choć nie ma jeszcze dokładniejszych liczb, można już stwierdzić, że zbiory (oczywiście nie licząc okopowych, które dały wyniki bardzo bliskie planu) są dość dalekie od planowanych i nie są o wiele większe, niż w ub. (1946) roku — bo choć powierzchnia większa, wydajność plonu niższa. Ale jednocześnie można stwierdzić, że choć zaopatrzenie w nawozy na jesieni było mniejsze od planowanego, choć tak samo niedostateczna była siła pociągowa, choć były lokalne trudności z materiałem siewnym — to znakomita i długa jesień, pozwoliła na daleko lepsze i daleko szersze przygotowanie ziemi na rok przyszły (1948). Tak więc w spuściznie po r. 1947, mamy na rok 1948 deficyt zbożowy oraz nadwyżkę obróbki i zasiewów.”

Fakt, że produkcja zbożowa i produkcja przemysłowa dóbr konsumcyjnych w roku ubiegłym nie dopisywały spowodował obniżkę towarowej masy konsumcyjnej. Z punktu widzenia polityki państwowej należało zmniejszyć odpowiednio siłę nabywczą konsumenta. „Ta zniżka — czytamy we wspomnianym już artykule z nr. 23, „Gospodarki Planowej” — została częściowo osiągnięta w sposób choć bolesny, ale świadomy i zorganizowany — mianowicie przez zaniechanie intensywniejszego i szerszego podnoszenia poziomu płac, a częściowo w sposób wysoce niepożądany i destrukcyjny — przez chaotyczną zwwyżkę cen”.

Z aktualnych problemów polityki gospodarczej warto podkreślić, zagadnienie, postawione przez dr. T. Bissage w artykule pt. „Kraj zapomniany” z 1 numeru „Życia Gospodarczego”. Autor zwraca uwagę na fakt, że potencjał gospodarczy Polski Zachodniej wzmógł się nieproporcjonalnie w stosunku do południowych ziem Rzeczypospolitej. „Na południu Polski czytamy — istnieje brak ognia, które by stanowiło żywą więź w procesie niezbędnej unifikacji terytorialnej, gospodarczej i komunikacyjnej, łączącej poszczególne obszary Polski w jeden organizm”. Dr Bissage zwraca uwagę na konieczność dalszej rozbudowy C. O. P-u, uważając, że „większość przesłańek, którymi się kierowano... w rozbudowie C. O. P-u jest nadal aktualna, a jeśli chodzi o ciągłość zaplecza na całym obszarze Polski Południowej nabiera większego znaczenia aniżeli w okresie przedwojennym”.

Z. Szrajer

Kapitalizm współczesny charakteryzuje duża agresywność, która się ostatnio przejawia w zaostrzonych formach ekspansji gospodarczo — politycznej. Przyczyny tego są jasne. Polityka wysokich cen i pustych pólek gwarantuje wysokie zyski dla producenta. Bardzo poważne nagromadzenie dóbr produkcyjnych i potężna rozbudowa możliwości wytwórczych aparatu gospodarczego krajów kapitalistycznych z USA na czele każe szukać mu za wszelką cenę dogodnych rynków zbytu i uległych klientów. Każde posunięcie na szachownicy spraw gospodarczych świata ma z tej strony ukryty sens polityczny.

Ponieważ finansjera międzynarodowa potrafiła opanować bez reszty aparat państwowy krajów o strukturze kapitalistycznej, przeto metody nabierają cech wyraźnego imperializmu. W tej praktyce imperialistycznej przoduje USA i dlatego dolar, tradycyjna waluta dewizowa handlu światowego, otrzymuje przede wszystkim funkcję polityczną. Oczywiście dolar w tych warunkach będzie się czuł najlepiej w tych krajach, w których będzie miał nie tylko kontrolę ekonomiczną, ale i kontrolę polityczną. Po ostatnich posunięciach departamentu Stanu USA, po planie Marshalla i misji Dulles’a we Francji, nie ma nikt co do tego złudzeń. Karty zostały odkryte albo przez nieudolność dyplomacji USA, albo przez swoistą taktykę. Ta kontrola ekonomiczna i polityczna — daje finansjerze międzynarodowej możliwość opanowania rynków świata, możliwość kierowania produkcją państw uległych w takim kierunku, jaki jest dogodny dla interesów nielicznych, ale jeszcze potężnych grup oligarchii międzynarodowej. Chodzi bowiem im o to, aby samowystarczalność poszczególnych krajów, a zatem i suwerenność państwowa zostały ograniczone do minimum, aby system polityki kolonialnej zapewnił producentowi — kapitaliście rynki zbytu. Sytuacja jest wyraźna, a wzmagać się może ostrość rozgrywki dowodzą jedynie akcji obronnej ze strony kapitalizmu, akcji, mającej na celu obronę własnych, egoistycznych interesów, które są zdecydowanie zagrożone w skali światowej przez ideę sprawiedliwego podziału dochodu narodowego, przez głębokie reformy gospodarczo-społeczne z nacjonalizacją przemysłu i reformą rolą na czele. Ta obrona ze strony kapitalizmu prowadzona jest wszelkimi środkami i za wszelką cenę.

Jeżeli więc będziemy próbowali w skrócie telegraficznie określić interesujące nas w tej chwili zjawisko, to moglibyśmy stwierdzić, że poza zastanawianymi, rozciągającymi przez państwa imperialistyczno-kapitalistyczne, kryje się jedna prawda, a prawdą tą jest osobisty interes i zysk producentów prywatnych członków wielkich karteli i trustów. To nie są sprawy z zakresu idei kultury czy różnic cywilizacji, to są sprawy mniejszej lub większej grubości portfeli akcyjnych.

Problem trzeciej wojny w takim układzie stosunków leży w interesie kapitalizmu. Jeżeli więc wojna leży w interesie kapitalistów międzynarodowych, to jednocześnie przeciwko wojnie występują zdecydowanie kraje, których potencjał nie jest do pogardzenia, i narody, które nie chcą być mięsem armatnim i ginąć dla wrogich sobie celów. Nadto metody dyplomacji światowej pod naciskiem ZSRR ulegają stopniowo zmianie, dyplomacja wychodzi na światło dzienne, i pod kontrolę opinii światowej. Są metody i ludzie, którzy światła nie lubią. To jest inna rzecz, ale te metody i ci ludzie tracą wiele ze swej mocy i potęgi, po ujawnieniu.

Walka o pokój światowy trwa. O pokój trzeba walczyć i trzeba umieć walczyć. Jeden z zasadniczych odcinków tej walki — to właśnie polityka aprowizacyjna. Mamy nadzieję, że czytelnicy rozumieją intencje, jakie kierowały nami przy dłuższym omawianiu spraw gospodarki światowej.

Na odcinku polityki aprowizacyjnej imperialistyczne metody państw kapitalistycznych świecą ponure i widoczne żniwo. Dziś bowiem produkcja rolno — hodowlana tych państw, a zwłaszcza eksport jest instrumentem polityki ekspansji, stosowanej przez finansjerę międzynarodową.

Jeżeli więc przy omawianiu dróg naprawy polityki aprowizacyjnej świata mówić będziemy o wysiłkach międzynarodowych organizacji, działających przy ONZ, to podkreślamy, że wyżej wymieniona ocena sytuacji ma kapitalny wpływ na realizację najpłkniejszych i najszytniejszych założeń na tym odcinku. W takim stanie rzeczy najbardziej idealne założenia mogą być wypacone i tendencyjnie podporządkowane wpływom mocarstwa — hegemonia, a ściślej wpływem rządu USA, bazującego swą politykę na dyspozycjach z kół finansjery międzynarodowej. Wszystko jednak wskazuje na to, że sprawy nie stoją beznadziejnie, że szanse naprawy istnieją. Naprawa wymaga zasadniczej wagi posunięć, a ich efekty mogą być oceniane jedynie w skali długofalowej z uwagi na skomplikowany model zagadnienia i poważny spiół trudności realizacyjnych.

SPROSTOWANIE

W poprzedniej części pracy T. Orlewicza („Głód na kuli ziemskiej”, „Wies” nr 4 (133)) wynika pomyłka za którą Redakcja odpowiedzialności nie ponosi. Mianowicie odbito odwrotnie wykres przedstawiający wartość kaloryczną odżywiania na osobę w państwach europejskich. Prostując powyższe — przeprasamy jednocześnie Autora i Czytelników za wynikły błąd.

REDAKCJA

FAKTY I ZDANIA

Strajki i drobne interesy

W bogatym i szczęśliwym kraju północnych Amerykan dochody prywatne osiągnęły w lipcu ub. roku nowy rekord — „dochodząc w sumie w stosunku rocznym do 197 miliardów dolarów” — podaje Biuro Statystyki Departamentu Pracy U.S.A.

W ubiegłym roku — czytamy w Biuletynie Wiadomości Tygodniowych wydawanym przez ambasadę U.S.A. w Polsce, — wszystkie przedsiębiorstwa w Stanach Zjednoczonych zarówno handlowe jak i zawodowe z wyjątkiem spółek akcyjnych, podały ponad 21 miliardów dolarów dochodu, co według „Dziennika Handlowego” wynosi trzykrotnie więcej, niż w r. 1939. Ilość działających przedsiębiorstw handlowych wzrosła w ubiegłym roku o 420.000, osiągając rekordową cyfrę ogólną 3.644.000.

Ot i sielanka w kapitalizmie! Dochody prywatne rosną, rośnie i liczba przedsiębiorstw. Ten, jakże miły obraz, psuje stanowczo inna statystyka.

Biuro Statystyki Departamentu Pracy w Waszyngtonie podało równocześnie, że w r. 1947, kiedy to tak wspaniale powiększyły się dochody prywatne, a liczba przedsiębiorstw rekordowo wzrosła — 2.200 tysięcy robotników przemysłu amerykańskiego strajkowało 3.600 razy. Widocznie w kraju północnych Amerykan nie może być inaczej, jak tylko tak, że jedna klasa społeczna zwiększa dochody prywatne i buduje nowe przedsiębiorstwa, podczas gdy druga — strajkuje.

Piotr Pigwa.

Proporcje

Przywykliśmy sądzić, że USA jest krajem dyskryminacji rasowej. Mamy nawet wiele dowodów, że stosunek do Murzynów nie kształtuje się tam na płaszczyźnie równości demokratycznej. Działalność Ku-Klux-Klanu, postępowanie w Murzynami w życiu codziennym znane są pospolitemu czytelnikowi zbyt dobrze.

Aż tu zdumiony czytelnik Biuletynu Wiadomości Tygodniowych Ambasady Stanów Zjednoczonych w Polsce dowiaduje się, że to wszystko łgarstwo. Bo oto co czytamy w jego numerze styczniowym:

„Truman składa hołd murzyńskiemu uczenemu.

Waszyngton, 6 grudnia: W celu uczczenia pamięci zmarłego przed 15 laty dr. George'a Washington Carvera, znanego na całym świecie murzyna amerykańskiego, uczonego i wychowawcy, wypuszczono nowy 3-centowy znaczek pocztowy z jego podobizną.

Naczelny Dyrektor Poczty Jesse Donelson, inauguruje wydany w poniedziałek znaczek uroczystością w Instytucie Tuskegee w stanie Alabama, gdzie dr. Carver po raz pierwszy zdobył rozgłos badaniami na polu rolnictwa. Uroczystość w Tuskegee zapoczątkowała szereg podobnych obchodów w całym kraju. W depešy nadesłanej do Dyrektora Instytutu Tuskegee, dr. F. D. Pattersona, Prezydent Truman podkreślił z zadowoleniem dalszy rozwój pracy zapoczątkowanej przez dr. Carvera w Fundacji jego imienia znajdującej się przy Instytucie, i chwalił „ ducha i metody tego wybitnego uczonego i dobroczyńcy ludzkości”.

Rodzice dr. Carvera byli niewolnikami, a jego kariera stała się symbolem wnoszenia się murzynów amerykańskich w hierarchii społecznej. Pomiędzy licznymi swymi osiągnięciami, dr. Carver przeprowadzał doświadczenia mające na celu dopomoczenie rozwojowi rolnictwa w południowych stanach. Dr. Carver był członkiem Royal Society of Arts w Londynie, i uzyskał wiele nagród i odznaczeń w Stanach Zjednoczonych. Zmarł w Tuskegee w r. 1943. „New York Times” podał do wiadomości fakt, że gubernator stanu New York, Dewey, wyznaczył dzień 5 stycznia na uczczenie 5 rocznicy śmierci dr. Carvera, i w swoim artykule wstępnym powiedział, iż zmarły „prawdopodobnie nie mógłby sobie życzyć piękniejszego pomnika, niż przyznanie, że przykład jego przybliżył czas, w którym wszyscy ludzie niezależnie od zabarwienia skóry będą sądzeni jedynie na podstawie swoich zasług”.

Dbaly o prawdziwe informacje redaktor Biuletynu wspominał tylko dodać, że uznanie dla murzyńskiego uczonego pozostaje w takiej proporcji do powszechnego stosunku Amerykanów do Murzynów jak obchodzący święto uczonego stan Nowy Jork do całości Stanów Zjednoczonych nie mówiąc już o produkujących w dziedzinie dyskryminacji rasowej Murzynów stanach południowych, z których wywodził się George Washington Carver.

Wot Gołubczyk.

Sielanka ks. Biskupa

Podajemy poniżej dwa głosy: przedstawiciela duchowieństwa w Polsce ks. Biskupa Choromańskiego oraz przedstawiciela świata nauki, prof. Stanisława Śreniowskiego. Oto co pisze ks. Biskup na temat współpracy Kościoła z Państwem w świątecznym numerze „Tygodnika Warszawskiego”:

„Tak jest — musi zapanować pokój w duszy człowieka i taki pokój jest właśnie misją Kościoła. Kościół na tej płaszczyźnie doskonale współdziała z państwem, w którego przecie interesie leży, by pokój panował w społeczeństwie.

Kościół nie dąży do supremacji nad Państwem i uważa taki stosunek między nimi za szkodliwy; Kościół odrzuca supremację Pań-

stwa nad Kościołem, jako krzywdząca i niesprawiedliwa; Kościół nie dąży i nie chce walki z Państwem; Kościół zawsze dążył i pragnie korzystnej współpracy z Państwem.

Tak było zawsze w dziejach Kościoła i takie jest stanowisko Kościoła dziś, kiedy chodzi o odbudowę Państwa Polskiego”.

Wygodnie jest odwoływać się do historii. Lecz nie sięgajmy zbyt daleko, oto co pisze o tej współpracy Kościoła z państwem historyk, profesor uniwersytetu, w swojej książce „Dzieje chłopów w Polsce”. Przypomnijmy, że są to czasy tuż przed drugą wojną światową, kiedy analfabetyzm w Polsce osiągnął cyfry pięciu i pół miliona dorosłych i pół miliona młodzieży, kiedy połowa uczących się dzieci chodziła tylko do szkółek jedno i dwu klasowych, kiedy... „chłop miał być siłą roboczą, miał żyć i bronić, ale nie wolno mu było myśleć, bo wówczas mógłby wymyślić... rewolucję”.

„Państwo i Kościół czuwały, aby (chłop) był potulny. Kler prowadził zajadłą walkę przeciwko wszelkiemu ruchowi chłopskiemu, przeciwko Stronnictwu Ludowemu i Związkom Młodzieży Wiejskiej „Wici”, nadużywał kazalnicy i konfesjonału, insynuował, że program chłopski jest sprzeczny z moralnością chrześcijańską, walczył w obronie interesów własnych, jako właściciela latyfundiów, a zarazem jako głównego wychowawcy duszy chłopskiej.

Współpraca rządu i Kościoła była zupełna. Rząd konfiskował każdy niemal numer „Zielonego Sztandaru”, pisma Stronnictwa Ludowego, a Kościół propagował umiejętnie własne wydawnictwa: Przewodnik Katolicki, Rycerza Niepokalanej, kalendarze ogólnopojące wieś itd. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży pod auspicjami Kościoła starało się spętać wieś frazeologią religijną, tak samo jak rządowy Siew, frazeologią państwową. Ale fakty nie dają się przesłonić słowami...

Pan i kler siedzieli na majątkach, obrabianych przez chłopów za cenę kilkudziesięciu groszy dziennego wynagrodzenia, a taksy chrztów, ślubów, pogrzebów wynosiły równocześnie po kilkadziesiąt złotych. Kościół urabiał duszę chłopską w wierze chiliastycznej, kazał modlić się i pracować, aby stać się godnym Królestwa, które przyjdzie, próbował zbagatelizować doczesną niedolę chłopską i fakty najjaskrawszej nędzy chłopów, wyrażającej się cyfrą 22 groszy jako wartości wyżywienia osoby w drobnym gospodarstwie chłopskim.”

Powoliwać się w tym wypadku, ks. Biskupie na historię nie warto — lecz wyciągnięta dłoń do współpracy na gruncie reform społecznych — państwo zawsze przyjmie.

Krzysztof Martynyński.

Na nowym etapie reformy szkolnej

Ostatnie obrady Sejmowej Komisji Oświatowej oraz inauguracyjne posiedzenie Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego poparte przemówieniem Prezydenta E. Beruta rozpoczęły nowy etap w kształtowaniu trzeciej wielkiej reformy, jaką jest reforma szkolna.

Charakterystyczne, że fakt ten poprzedziło ożywienie myśli teoretycznej w zakresie polityki i socjologii szkolnictwa czy socjologii wychowania. Ta zbieżność teorii i praktyki w dziedzinie oświaty nie jest zdarzeniem, które można by określić jako przypadkowe — wręcz przeciwnie, świadczy ono o wyraźnej prawdziwości w zachodzących procesach społecznych. Potwierdza tezę, że w społeczeństwie typu socjalistycznego nie ma miejsca na zasadniczą sprzeczność między teorią a praktyką, ale właśnie teoria wspiera i kieruje praktyką społeczną.

Świadczą o tym artykuły zamieszczone w nr. 11 (18) „Myśli Współczesnej” traktujące przede wszystkim o zagadnieniach szkolnictwa wyższego — A. Butiagin i J. Saftanow „Trzydzieści lat wyższego szkolnictwa w Z. S. R. R.” W. Sokorski „Demokratyzacja szkół wyższych”, a przede wszystkim artykuł prof. Chałasińskiego „Współczesna reforma szkolna, a idea narodu i socjalizmu”. Prace te, podobne jak i prof. K. Sońnickiego „Kierunki pedagogiczne do końca XIX w. i ich aspekt polityczny” („Nowa szkoła” nr. 4), obalają całkowicie niezgodną z prawdą teorię „szkolnictwa apolitycznego”, rzekomo niezmiennego w swych założeniach w stosunku do człowieka różnych epok i społeczeństw. „Historia wychowania i szkolnictwa nie jest historią oderwanych idei, lecz historią sił i ruchów społecznych, dla których idea są zarówno celami do których dążą, jak i re-

flektorami, które oświetlają drogę do tych celów”. (J. Chałasiński) Prof. Sońnicki potwierdza tę tezę: „Co więcej, można mieć poważne wątpliwości, czy jakiś system pedagogiczny, który przecież musi podawać zawsze jakieś normy wychowania, może być całkowicie wolny od aspektu politycznego. Każdy bowiem z nich musi przyjmować mniem lub więcej wyraźnie jako swoją podstawę, odpowiedź na dwa zasadnicze pytania:

1. Czym właściwie jest człowiek i co stanowi jego istotę?

2. Czym jest świat w którym żyjemy, i jaka jest istota tego świata?”

Nie może być mowy o „nowej kulturze” i „o nowym człowieku” bez nowego systemu jednolitej i powszechnej oświaty, bez zmniejszonego składu społecznego młodzieży na wszystkich szczeblach nauczania, bez całkowitego zlikwidowania analfabetyzmu.

Stoi przed nami i w tej dziedzinie praca za kilka pokoleń, musimy odrobić nasze „cywilizacyjne spóźnienie” w stosunku do krajów produkujących w dziedzinie kultury.

„Gdy inne kraje w ciągu XIX wieku upowszechniały kolejno najpierw szkołę elementarną, a później średnią, a następnie uniwersytety, to współczesna Polska musi to zrobić równocześnie, ponieważ nie ma już czasu na rozkładanie tego procesu na etapy. Zaległej historii nie da się rozłożyć na raty”.

Reforma szkolna wyrosła już z okresu niemożliwego — „dekretów ministerialnych”, a stała się sprawą całego społeczeństwa, zmobilizowała opinię publiczną, dojrzała coraz bardziej do wyznaczenia jej roli. Tak więc jak faktem stała się demokracja ludowa, jako „polska droga do socjalizmu”, tak też faktem staje się nowa, zgodna z potrzebami społecznymi i narodowymi polska szkoła, polski system socjalistycznego wychowania.

Nie ruszone jeszcze w dyskusji ogólnej jest nabierające coraz większego znaczenia zagadnienie ideologiczno-wychowawczych organizacji młodzieżowych. Usiłowała tę dyskusję rozpocząć „Wiś” analizując podstawy ruchu młodzieżowego „Wici” i tradycje historyczną Z. W. M. Problem domaga się naukowego opracowania i naukowych dyrektyw. „Toczymy — jak powiedział W. Sokorski — dumną walkę o wolność człowieka w jego twórczym i świadomym akcie codziennego stawiania się”.

Alina Osiańczakówna.

Kultura na łatki

Motto:
„Pytasz, jak Wysz się pisze.
Nie zauważyłem.
Lecz sądząc ze wszystkiego
To przez e pochylić”.

Teodor Bużnicki.

W „Tygodniu” istnieje szpalta zatytułowana szumnie „kroniką kulturalną”. Nad jej prowadzeniem poci się niejaki pan St. Łatka. Widocznie z nieumiejętności prowadzenia tego rodzaju kroniki lub po prostu chronicznego braku konceptu „kulturalnego” pan St. Łatka redaguje ją w sposób nie nabyty kulturalny. Oto najczęściej dysponowanie tą rubryką służy mu do insynuowania temu czy innemu tego lub innego — do przypinania łatek (zreprezentować autora kroniki za swobodne posługiwanie się jego nazwiskiem). Jednym słowem kultura p. Łatce służy na „łatki”.

W nr. 1 (77) z dnia 4.1.48 r., tego pisma p. Łatka zaprezentował znowu swą impotentną „kronikę kulturalną”. Tym razem próbując „omawiać” pracę Borejszy p.t. „Na rogatkach kultury polskiej”, pozwolił sobie p. Łatka na „przypięcie się” do kilku osób. Pozwolił sobie zacytować kilka zdań autora z „Tygodnia”: „Borejsza rozprawia się z pojęciem „mnogości” czy „wielości” kultury — mówiąc słowami Chwistka: z kulturą chłopską, robotniczą, inteligentką itp., które mają dziś w Polsce swych wyznawców i bojowników, tak bardzo zaślepionych jak np. Jan Aleksander Król ze „Wsi”. Dalej St. Łatka cytuje z Borejszy: „Słyszmy nieraz, jak ludzie młodzi, bez dostatecznej znajomości dziejów tej pracy (oświatowo-kulturalnej) w naszym kraju, w czambuł potępiają wszystko co było przed nimi, i odzęgują się od wszystkiego bez wyjątku, co w tej dziedzinie działo się w okresie przedwojennym. Skłonni są oni nawet z tą właściwą młodzieży pewnością siebie utrzymywać, że przed nimi nie było absolutnie nic i że dopiero od nich rozpoczyna się nowa era i nowy świat”. Komentując powyższe zdania pisze Łatka: „Istnieje pewne kategorie teraźniejszej inteligencji, w swoim mniemaniu zapewne elity kulturalnej, podkreślające z upodobaniem, że świat się od nich zaczął, że dotąd w Polsce nie było nic... I tam dalej. Prosimy to

sobie przeczytać. — Ale co na to wszystko, co na Borejsze powie Żółkiewski — owo jaje prabytu, z którego w Polsce wszystko się wyklulo, łącznie z Rykiem Matuszewskim i Julkiem Żuławskim?”. A więc dostało się po kolei Królowi i Żółkiewskiemu, Matuszewskiemu i Żuławskiemu. Ale mniejsza o te imienne wycieczki pana Łatki uważającego ludzi nie zwracających nań uwagi za zapowietrzonych „kulturalnie”. Rzecz jest inna i o wiele poważniejsza. „Kroniki kulturalne” „Tygodnia” są niezdrowym objawem nieuczciwej informacji, smutnym przejawem wypaczenia cudzych myśli przez niedorzeczne komentarze „łatkowych” kronikarzy.

Wśród twórczości nieodżałowanego poety Teodora Bużnickiego jest jeden skromny, lecz bardzo celny czterowiersz. Z pewnością jest on dobrze znany p. Łatce, któremu poleciłbym go do czytania przed każdorazowym pisaniem „kroniki kulturalnej”.

Waldemar Kiwiłszo.

Atomizm i tomizm

W ubiegłym roku w Londynie wyszła książka biskupa Knox'a pod tytułem „Bóg i atom”. W jednym z rozdziałów tej książki zatytułowanej „Atomizm i tomizm” biskup usiłuje „dowieść” w sposób wysoce „naukowy” i nadzwyczaj zawiły, że odkrycie i wyzwolenie wewnętrznej energii atomu ma potwierdzać „śluszość” i „prawdę” scholastycznej filozofii Tomasza z Akwinu. Po tym stwierdzeniu proponowałby od siebie zmodyfikowanie nazwy współczesnego neotomizmu, na atomizm, — różnica w nazwie nie wielka, a treść za to o wiele bogatsza.

Jan Bryczek.

KSIAZKI NADESLANE DO REDAKCJI:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”:
Michał Szolochow — Cichy Don — tom. II cz. I — str. 224
— Cichy Don — tom. II cz. II — str. 254
— Cichy Don — tom. III str. 521;
Jerzy Borejsza — Na rogatkach kultury polskiej str. 31;
Bohdan Dyakowski — Nasze zboża str. 78;
J. I. Kraszewski — Historia o Januszu Korczaku i pięknej miecznikównie — str. 266;
Najciekawsza podróż z Drem Wszędobylskim — napisał — Dr. Wszędobylski — str. 175;

SPÓLDZIELNIA WYDAWNICZA WIEDZA:

Eliza Orzeszkowa — Meir Ezołowicz, 2 t. — t. 1. str. 205, t. 2. str. 220;
Jerzy Seweryn — Kierunek na Elżbietkę str. 220;
A. A. Milne — Chatka Puchatka, przełożyła Irena Tuwim, str. 200;
Karolina Beylin — My sami! str. 105;
Adam Próchnicki — Człowiek — myśliciel — polityk, str. 31;
Halina Górska — O księżce Gotfrydzie ryccerzu gwiazdy wigilijnej str. 114;
Rudyard Kipling — Kim, str. 341;
Gustawa Jarecka — Ludzie i sztandary 2 t. 1. t. str. 272, t. 2. str. 362;
M. Faraday — Dzieje świcy — str. 149;
D. Gayówna — Dobroczynca ludzkości Ludwik Pasteur — str. 158;
B. Dyakowski — Badacz dalekiej północy — str. 95;
Zofia Bohuszewicz — Jean Henri Fabre — str. 117;
Jan Sokółowski — Orzeł król ptaków — str. 57;
D. Gayówna — Sosna str. 63.

WYDAWNICTWA INNE:

Oliver Goldsmith — Pleban z Wakefieldu — str. 223. Warszawska spółka Wydawnicza „Syrrena”;
Leon Pasternak — Linia życia — str. 78, nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich;
Remigiusz Kwiatkowski — Parasol noś i przy pogodzie — str. 126 — Warszawska Spółka Wydawnicza „Syrrena”.

WYDAWNICTWO M. KOT — KRAKÓW:

Henryk Mościcki — Ludzie wolni są braćmi — str. 123;
Kazimierz Lepczyński — Zarys dziejów polskiej marynarki, str. 83;
Bogusław Leśnodorski — Parlamentaryzm w Polsce, str. 160.

KOMUNIKAT

Zarząd Wojewódzkiego Związku Samopomocy Chłopskiej w Łodzi podaje do wiadomości, że w dniach 7, 8, 9, 10, odbędzie się III-ci Walny Zjazd — sprawozdawczo-wyborczy Wojew. Zw. Sam. Chłopskiej, w lokalu „Domu Kultury Robotniczej”, przy ul. Przedzalanianej 68 — w Łodzi.

Jednocześnie Zarz. Woj. ZSch. zawiadamia, że w dniach 12, 13 i 14.11.48 r., odbędzie się Zjazd Szkoleniowy terenowych Pracowników Wydziałów Rolnych, Związku Samopomocy Chłopskiej i Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z województw: warszawskiego, lubelskiego i łódzkiego, w tymże samym lokalu tj. przy ul. Przedzalanianej 68 w Łodzi.

Tematem obrad będzie podniesienie produkcji i wyścig pracy w rolnictwie.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redagując Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133, Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 40,— zł, kwartalnie 120,— zł, półrocznie 240,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P.K.O. ŁÓDŹ VII — 1080.

Obdono w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, żwirki 2. D—025006